Nr 45 (1607). Warszawa, 11 listopada 1911 r. **Rok XXXI**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **WŁODZIMIERSKA Nr. 5. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

O Wolność Sumienia.

Rosyjski ruch wsteczny, podkopując wszystkie po kolei podstawy konstytucji, przypuścił w końcu atak do ukazu o tolerancji z d. 30 kwietnia 1905 r.

Było to do przewidzenia, i właściwie dziwić się należy, że atak teraz dopiero nastąpił.

Kto zdaje sobie sprawę z budowy państwowości rosyjskiej i z ducha, tę budowę wieńczącego, pojmie z łatwością, że motywy religijne niezwykle wybitne zajmują tam miejsce, górując nad interesami i wymogami wszystkich sfer społecznych, co dziś w zaraniu XX wieku stanowi osobliwość, niemniejszą od prerogatyw kościelnych, świeżo w Hiszpanji i Portugalji zniesionych.

Ludziom, dobrze obeznanym z państwowością rosyjską, nie mogło być tajnym, że by konstytucję do Państwa wprowadzić, należało wprzód wybić wyłom szeroki w murze *ancien régime'u*: uczynił to właśnie ukaz kwietniowy.

Wagę tego faktu przeoczyli, rzecz prosta, ci wszyscy politycy społeczni, którzy alfę i omegę ruchów wolnościowych upatrywali w walce klas, gdy tymczasem gra ona w życiu rosyjskim rolę li tylko podrzędną.

Jakoż w ciągu niewielu lat udało się reakcji, głównie dzięki błędom taktyki opozycyjnej, obezwładnić reformę konstytucyjną i wyżenąć ją za mury: teraz czynią się właśnie zabiegi, by ziejący w nich wyłom tolerancji religijnej przykryć, przywalić, zatkać głazami niepamięci po wieczne czasy.

I oto ukaz kwietniowy, jak pierwszy w r. 1905 znalazł się na porządku dziennym odnowienia ustroju, tak dziś jawi się ostatni w serji zjawisk wstecznych, zamykając bilans likwidacji ruchów wolnościowych.

Czy bilans będzie zamknięty istotnie i na jak długo — to inna sprawa.

Tymczasem u czoła reakcji rządowej stoi nacjonalizm typu Stołypina i Bobrinskija; na czele zaś nacjonalistów kroczy biskup Eulogjusz, twórca nowej gubernji, w otoczeniu sporej świty gorliwców w kapach i rizach.

Z łona tych właśnie sfer, osobiście i bezpośrednio zainteresowanych, wyszły przedwstępne ataki na ukaz kwietniowy, zamieszczone w gazecie *Nowoje Wremia* i głoszące co następuje:

„Ukaz tolerancyjny wyraźnie wypływał nie z potrzeb państwowych i życiowych realnych interesów, lecz *z pojęć abstrakcyjnego humanizmu, będącego czystą ideologją.* Natychmiastowym tego następstwem było odpadnięcie „opornych" b. unitów w kraju północno-zachodnim, które zniszczyło cały szereg parafji w Chełmszczyźnie, następnie odpadnięcie „opornych" Tatarów nad i zawołżańskich, wnoszących prośby „o uwolnienie z listy cerkwi państwowej" i t. d. Właściwie z formalnego punktu widzenia wszystkie te odstępstwa dokonane są prawidłowo, na gruncie ukazu i nie mogą być uznane za nieprawne, ale są to przecież z jednej strony *zjawiska antipaństwowe*, z drugiej zaś, jeśli rozpatrzeć nie samą prośbę innoplemieńców w Petersburgu, lecz jak się ją pisało na miejscu, to się okaże, że podpisanym w gruncie rzeczy jest zupełnie obojętne, na jakich listach mają figurować, że przedewszystkim, przy pomocy postronnych wyjaśniaczy, zrozumieli-oni ukaz z dnia 17 (30) kwietnia 1905 r. jako cesarski „rozkaz".

Do tego więc doszło, że Ukazy cesarskie traktuje się w oficynach *Nowego Wremi* na równi z artykułami *Rieczy*, jako wytwór „abstrakcyjnego humanizmu", który nie odpowiada „potrze-

bom państwowym" ba! powodujo nawet „zjawiska antipaństwowe"...

Stąd do oskarżenia nawet najwyższej władzy o nieprawomyślność—jeden tylko krok. Czy i ten krok uczyni grupa żarliwców prawosławia? W Rosji wszystko możliwe...

Lecz na uwagę z naszej strony zasługuje specjalnie ustęp, gdzie kler czyni się wyłącznym arbitrem „potrzeb państwowych i realnych życiowych interesów".

To śmiałe uroszczenie, owo spajanie interesów rozległego państwa z korzyścią kasty duchownej świadczy dosadnie o słuszności naszych twierdzeń, że wbrew niektórym pozorom nowoczesnym, co złudziły wielu marksistów z obozu zdeklasowanych mieszczan, — państwo rosyjskie nie wyszło dotąd z pieleszy średniowiecza, kiedy to władza duchowna górowała jeszcze nad świecką i rządziła według swego widzimisię.

Szczytem zaś przewrotności, a zarazem wzorem klerykalnego sposobu myślenia, jest końcowe zdanie cytaty, jakoby „opornym b. unitom było zupełnie obojętne, na jakich listach mają figurować" czego dowód widzieć można w tysiącach krwawych ofiar, w nadludzkich czynach poświęcenia i samozaparcia minionej, (a powracającej może) martyrologji Unitów.

Treścią Ukazu kwietniowego było *prawo samookreślenia przynależności religijnej*, prawo, od czasu Reformacji wywalczone i obowiązujące w całym kulturalnym świecie.

Ale z tym prawem — wypada ono na korzyść katolicyzmu na Litwie i Rusi tudzież w Chełmszczyźnie — z tym prawem kler prawosławny nie chce się żadną miarą pogodzić, bo czyni mu ono szczerbę w prebendach i wpływach; sprawiedliwość każe zaznaczyć, że i nasz kler katolicki z kolei patrzy krzywo na ukaz tam, gdzie stwarza on prawomocnie nowe sekty i schyzmy w rodzaju Marjawitów.

Z tą niewątpliwą dla siebie plagą walczy nasz kler obmową, postrachem, terrorem i klątwą; natomiast kler prawosławny, rozporządzając całą siłą „ramienia świeckiego" korzysta z niej bez skrupułów i oto widzimy go jako *spiritus movens* wielkiej skrajnej reakcji, która dąży do zdławienia resztek dychawicznej wolności sumienia w państwie rosyjskim kosztem bodaj zachwiania autorytetu władzy.

W poszukiwaniu drogowskazu.

V.

Nauka i polityka.

Kiedy zdaliśmy już sobie sprawę z okropnych warunków objektywnych i subjektywnych, w których tworzymy nasz pogląd polityczny, zważyliśmy piętrzące się przed nami trudności, choć nie wyczerpaliśmy zapewne wszystkich, zapytajmy się teraz, jak więc budować mamy nasz program, aby ominąć niebezpieczeństwa, grożące mu na każdym kroku?

Na zjawiska społeczne zapatrywać się można z dwojakiego punktu widzenia: 1) ze stanowiska objektywnego, przyrodniczego z którego przedstawiają nam się one, jako zjawiska natury, i stanowisko takie zajmuje nauka, 2) ze stanowiska sztuki politycznej t. j. wskazań do czynu. Pierwsze z nich uwzględniać musi całokształt warunków, w których się rozwija społeczeństwo, wszystkie jego pierwiastki, jego stosunki wewnętrzne i zewnętrzne, aby skomplikowany węzeł życiowy, wyjaśnić i usystematyzować, aby znaleźć prawa, rządzące życiem zbiorowości.

Sztuka polityczna ma na celu czyn, a nie poznanie. Ona oddziaływa na życie, zmienia je, doskonali. I dlatego musi być zawsze jednostronną. Żaden człowiek, bez względu na swą potęgę, najbardziej absolutny władca nawet, nie jest w stanie ogarnąć całego życia społecznego, we wszystkich jego objawach. Program polityczny, musi być w najszerszym znaczeniu

ECHA PRAWDY.

Noce afrykańskie.

I. Pod murami Fezu.

Dwaj żołnierze francuscy, stojąc na warcie, tak sobie gwarzą:

— Uf! Oddycham nareszcie: pokój z Niemcami zawarty.

— Jakto? Więc była wojna?

— Nie, ale wisiała na włosku, jak mówi p. Caillaux — dla którego włosek to rzecz ważna, bo sam jest łysy jak kolano.

— Hm! Czy to jednak nie dziwne, że nam każą się cieszyć z tej racji, żeśmy oddali Niemcom kraj, jak pół Francji — bez wystrzału?

— Ba, właśnie oto chodzi, że bez wystrzału. Oszczędziliśmy sobie wojny.

— Takie oszczędności drogo kosztują.

— Drogo? Gadanie. Kongo jest bez wartości.

— W takim razie po co go było zdobywać z takim trudem i mozołem?

— Żeby dostać wzamian Marokko.

— To Niemcy dali nam Marokko?

— Dać nie dali, ale pozwolili zabrać.

— A jak jutro zechcą Algieru, a wzamian pozwolą nam zabrać sobie... księżyc?

— No, Algieru tak łatwo nie damy, ale cóż nam po takim Kongu..

— Jeśli Kongo niema wartości, to po co Niemcy tam włażą? A jeśli ma wartość, to pocośmy się go wyrzekli?

— A toć mówię, barania głowo: dla świętego spokoju.

— A znasz ty piosenkę „*Tchórz mnie obleciał?*"

— Ej, bo jak lunę w zęby!

Wtym trąbka daleka zabrzmiała w nocnej ciszy, nakazując baczność.

Dwaj żołnierze wyprostowali się, zastygli, z palcem na cynglu, z oczyma, wlepionymi w ciemność.

II. Na wałach Derny.

Nad grzbietem starego muru wychyla się z jednej strony biały kaptur burnusa, a z drugiej — hełm, zdobny koguciem piórem.

Arab i Włoch, zaskoczeni znagła swoją obecnością, patrzą na się chwilę z rozdziawionymi usty.

— *Corpo di Bacco!* Jeszcześ tu?

— Dlaczego mam tu nie być? Ja tu mieszkam.

— Ehe! Tu już mieszka kto inny. Aneksja ogłoszona. Nie czytasz gazet, gamoniu?

— Czytam, ale tureckie. Tam piszą, że idzie wojna święta, giaury pobici, niema już ani jednego Włocha w Afryce, oprócz dwuch kataryniarzy.

— Łżą twoje gazety!

— Twoje także.

— Patrzcie no go, pohańca! Mówię ci, że wasze panowanie skończone — basta. Teraz tu się za-

tego słowa, wykonalny, choćby w mniej lub więcej odległej rzeczywistości, w przeciwnym razie celu nie osiągnie i zawsze pozostanie bezpłodnym.

I dlatego program polityczny musi być partyjnym, bo czyn całokształtu życia ogarnąć nie może. I rzeczywiście programy, jako dyrektywy czynu, chociaż rozciągają się na wszystkie strony życia publicznego, uwzględniają je z punktu widzenia tylko pewnych interesów, czy pewnych grup społecznych. Program, któryby chciał pogodzić wszystkie sprzeczne dążności społeczne, nie mógł by być wykonany, gdyż w czynie musiał by się sam ciągle paraliżować. Synteza społeczna, tworzy się nie tylko po za czynem jednostki czy grupy społecznej, ale niewątpliwie, dotychczas, po za świadomością ludzką.

I oto mamy dwa kierunki myśli, w dziedzinie zjawisk społecznych: jeden, którego celem jest poznanie, prawda, który stara się ogarnąć całokształt życia zbiorowego, i w czasie, i w przestrzeni, drugi, którego celem jest czyn, oddziaływanie na wolę innych, twórczość życiowa, z konieczności jednostronny, ograniczony do pewnego zakresu.

Wykładnikiem pierwszego jest nauka, drugiego polityka i jej najważniejszy współpracownik publicystyka.

Nie należy wszakże tego rozróżnienia traktować zbyt formalnie i bezwzględnie. Dzieła naukowe są często publicystyką i odwrotnie w publicystyce jest często punkt widzenia naukowy. Człowiek zupełnie prosty, analfabeta, może patrzeć na zjawiska, jako na przedmiot poznania i usiłować je wszechstronnie, wedle możności wyjaśnić, a uczony może oceniać zjawiska, ze stanowiska uczuć, interesów pewnej grupy, t. j. ze stanowiska sztuki politycznej. W żadnym umyśle nie panuje bezwzględnie żaden z tych kierunków. Jeżeli więc używamy wyrazów nauka i publicystyka, to nie dla określenia etykiet tych lub owych kategorji ntworów, ale dla określenia dwóch różnych metod, które nie zawsze znaleźć można w utworaah, zaliczonych formalnie do tej lub innej kategorji; chociaż bezwątpienia w dziełach naukowych najczęściej metodę naukową, a w artykułach politycznych, mowach parlamentarnych, najczęściej znajdujemy metodę publicystyczną. Pomiędzy tymi dwiema metodami wieczny, choć, jak zobaczymy, pozorny istnieje antagonizm.

Wskazania nauki nie mogą być bezpośrednio zastosowane w życiu, a działalność polityczna czy publicystyczna, dla nauki stanowić mogą tylko przedmiot badań, jeden z pierwiastków rzeczywistości.

Spór z publicystą lub politykiem o to, czy on ma, czy niema racji, możliwy jest tylko dla drugiego publicysty lub polityka. Z punktu widzenia metody naukowej obydwaj oni mają rację, lub żaden z nich jej niema: człowiekowi, który przemawia w imię swych uczuć, interesów, pragnień, żadna teorja, a tymbardziej hypoteza, nie wytłomaczy, że te uczucia, interesy, pragnienia nie mają podstawy. Z ich stanowiska on ma zawsze rację. Ale nie ma jej nigdy, skoro chodzi o całość życia, gdyż jego uczucia, pragnienia, muszą być zawsze jednostronne.

Stosunek poglądów politycznych do nauki, jako przedmiotu do podmiotu, decyduje też stanowczo, o roli metody naukowej; t. j. uczonych w życiu publicznym.

Charakteryzuje je zupełne niepowodzenie.

Ciekawy przykład tego przedstawia karjera polityczna jednego z największych myślicieli 19 stulecia, Johna Stuarta Milla, którą świetnie przedstawił Buckle, w szkicu pod tytułem „Mill".

Uczeni w działaczach politycznych nie wzbudzają zaufania.

Fryderyk Wielki mawiał, że gdyby chciał zgubić państwo, powierzył by jego zarząd filozofom. I jest w tym zdaniu wiele szłuszności: uzasadnia je socjalog niemiecki Konstanty Frantz mówiąc, że uczeni najmniej mają zdolności do panowania, to bowiem, co stanowi istotę ich duszy, odróżnia ich od innych ludzi.

Zdolności do panowania natomiast mają w wysokim stopniu duchowni i wojskowi, zawody, oparte na wierze i woli.

Ażeby oddziaływać na opinję, trzeba przemawiać nie do rozumu, ale do uczuć, co przeoczają zazwyczaj uczeni.

„Narody nie oświecają się za pomocą prawdy, mówi Jan Scherr, lecz chcą się wzmocnić w swych z góry powziętych mniemaniach". Mas nie można przekonywać, trzeba je wzruszać.

---

cznie nowa era — kultury, chrześcjaństwa, dobrobytu, szczęścia. Więc zmykaj, pókiś cały!

— Zmykać? Uciekać od kultury, chrześcjaństwa, dobrobytu i szczęścia? Z jakiej racji? Zostanę.

I został — nazawsze, przybity do ziemi bagnetem. Opodal miauknął kot i spłoszył zwycięzcę. Nazajutrz prasa włoska trąbiła o mężnie odpartych szturmach, a pisma nad Bosforem doniosły o zdobyciu Derny.

Jak u murzynów.

Nastroje afrykańskie sięgają snadź i do środka Europy, jak świadczą o tym trzy drobne fakty, godne hotentockich albo zuluskich stosunków, a ilustrujące ciemnotę, nieobyczajność i nietakt pewnych sfer żydowskich w naszym kraju.

W Sosnowcu, dzięki opłakanym warunkom hygienicznym, panuje szkarlatyna, zabierająca sporo ofiar, zwłaszcza z pośród dzieci żydowskich. Aby uchronić je od tej zaraźliwej choroby, miejscowy rabin rozkazał, aby dzieciom zawiązywano na szyi czerwone wstążki. I oto dzieci brudne, umorusane, niechlujne, biegają po ulicach, a każde ma na szyi kraśną wstążeczkę.

Jak u murzynów.

W Słomnikach, w ziemi kieleckiej, zmarł w tych dniach bogaty żyd, zostawiając spadkobiercom 200 tysięcy rs. Miejscowe bractwo pogrzebowe, zwane „świętym towarzystwem" zażądało 7,000 rs. za pogrzeb, a spotkawszy się z odmową, urządziło — strejk. Wreszcie dobito targu — „święte towarzystwo" dostało 4,000 rs.

Jak u murzynów.

Litwaccy właściciele firmy A. M. i D. Samsonowicz, handlującej ubraniem i obuwiem w Warszawie, na list w języku miejscowym odpowiedzieli po niemiecku, że „w polskim języku *wogóle* nie korespondują" i jeśli ktokolwiek chce się z nimi porozumieć to „prosimy czynić to w jakimś zrozumiałym języku t. j. w niemieckim lub rosyjskim".

Ci panowie *nas* mają za murzynów.

Ks. Wyrębowski, donżuan w sutannie.

Postępowy *Kurjer Łódzki* (Nr 179) dowiódł wielkiej śmiałości przekonań i odwagi cywilnej, poważywszy się wytknąć ks. Wyrębowskiemu haniebne jego sprawki wobec penitentek w intymnym cieniu konfesjonału. Dotknięty tym do żywego, ks. W. wytoczył proces p. Janowi Garlikowskiemu, autorowi odnośnego artykułu p. t. *Donżuan w sutannie.* Wydział karny Sądu Okręgowego piotrkowskiego, rozpoznawszy sprawę, p. Garlikowskiego uniewinnił.

Skutkiem tego wyroku ks. Wyrębowski pozyskał niezaprzeczone prawo do tytułu „Donżuana w sutannie", który winien być umieszczony na jego biletach wizytowych i na drzwiach jego plebanji.

Życie zawdzięcza swoje wskazania metodzie publicystycznej. Ono wymaga rozwiązań natychmiastowej i bezpośrednich, a tych nauka dać nie może; dla tego, że szczególniej w dziedzinie społecznej, twierdzenia jej są jeszcze bardzo wątpliwe i sporne, że metoda naukowa wymaga wszechstronnego i drobiazgowego badania każdego zjawiska, a życie czekać nie może, że wreszcie nauka poznaje raczej to, co było, niż to co jest, lub będzie, bo nauka może operować tylko za pomocą faktów ustalonych.

I dla tego nie ona bezpośrednio tworzy życie.

Nie ludzie mądrzy, ale silni i rozsądni nim kierują i nie ci, którzy umieją chodzić po labiryncie zawiłych konstrukcji logicznych i abstrakcyjnych, ale ci, którzy potrafią wybrnąć z labiryntu złożonych stosunków życiowych. A do tego potrzeba rozsądku i woli.

Energja i t. zw. chłopski rozum stanowią siłę w życiu zbiorowym, stanowią najważniejsze cnoty działacza publicznego. A choćby nie posiadał on wiedzy, lub posiadał jej bardzo mało, jego zdolności twórcze, dadzą jaknajlepsze rezultaty.

Należy bowiem zważyć, że w rzeczywistości na dnie działalności każdego człowieka praktyki, tkwi cały szereg teorji, ujętych przez naukę w określone systematy. Człowiek mógł nic nie czytać, ale musi nieświadomie swe sądy społeczne, oprzeć o tę zasadę nietylko ekonomiczną lub polityczną, ale także socjologiczną, — a nawet filozoficzną. Bo przecież przedmiot nauki stanowią myśli i działania nawet najprostrzych ludzi, i znajdują one odbicia w teorjach naukowych. Ludzie praktyki nieświadomie, realizują je w życiu.

Człowiek siedzący w książkach zdziwić się nieraz musi, jak prostak dochodzi drogą swego prostego i krótkiego rozumowania do prawd, nad którymi tamten nieraz dziesiątki lat pracował.

Bourdeau w charakterystyce H. Taine'a robi taką trafną uwagę: „Podobnie, jak Renan, który napisał dwadzieścia tomów historji religijnej, aby wyprowadzić wnioski, do których pierwszy lepszy człowiek bez wysiłku dochodzi, Taine poświęcił trzydzieści lat życia, olbrzymiej pracy, wzniósł wspaniały pomnik historyczny, aby wyrobić sobie zdanie w polityce, aby wiedzić, jak powinien głosować, aby uzasadnić liberalne i patryjotyczne poglądy...

I niema w tym nic dziwnego. Człowiek uczony nie może mieć innych poglądów, jak prostak umysłowy, choć by z tego powodu, że w każdej dziedzinie wiedzy, ilość idei czy teorji jest ograniczona. Nie można mnożyć ich do nieskończoności.

Na dnie każdego poglądu politycznego tkwić może np. tylko ograniczona ilość możliwych teorji socjologicznych.

Za główny czynnik rozwoju społecznego uważać można, albo siły natury, znajdujące się po za świadomością ludzką (teorja biologiczna), albo tę świadomość (teorja psychologiczna), albo wreszcie uważać, że prawa społeczne, chociaż po za świadomością ludzką, tkwią w istocie samego społeczeństwa, jako wynik form wytwarzania (materjalizm historyczny). lub naśladownictwa (teorja Tarde'a).

Otóż każdy człowiek jest wyznawcą nieświadomym jednej z powyższych teorji, i jego poglądy na sprawy praktyczne dadzą się zawsze pod jedną z nich podciągnąć.

Wszyscy ludzie na podstawie tych samych zjawisk te same budują teorje z tą wszakże różnicą, że jedni opracowują je świadomie i krytycznie, jako swój cel wyłączny, inni, praktycy życiowi, te same teorje niewiedząc często o ich istnieniu, stosują do celów praktycznych, biorąc je za podstawę swych czynów.

I dlatego nawet z *punktu widzenia umysłowego* nie należy lekceważyć tych wytworów publicystyki lub polityki, które są zawsze jednostronne, a ze stanowiska prawdy naukowej fałszywe, subjektywne i bezkrytyczne.

Ale stanowisko to jest dla nich obojętne i nie za pomocą takiej miary oceniać należy ich wartość. Celem ich nie jest prawda, bezpośrednio, ale pożytek społeczny, nie przekonanie rozumów, ale oddziałanie na wolę ludzką.

Dla uczonego badacza — prawda stać musi po nad wszystkim: tu żadne kompromisy, żadne przystosowania nie są możliwe.

Polityk czy publicysta przeciwnie dla osiągnięcia swego celu, praktycznego musi się liczyć z materjałem ludzkim, na który oddziałać zamierza, przysto-

---

10)

STEFAN KIEDRZYŃSKI.

FATALNE MIŁOSIERDZIE.

(Dokończenie).

I oto nagle z tego śmietnika wspomnień, jak oko złośliwego węża, błysnął prosto w twarz poecie rubel, otrzymany niegdyś od Górnickiego. Andrzej pobladł gwałtownie. Na razie ucieszył się bardzo widokiem srebrnej monety, lecz potym, coś jakby dławiący czad, zamroczyło go lękiem bez granic. Patrzał z przerażeniem na srebrnego, lśniącego rubla, słysząc w uszach wyraźnie słowa Jana: „Niech ci przyniesie szczęście, jak postronek powieszonego". Poeta zatrząsł się, czując lód w piersiach. Prawie gwałtownie zerwał się z ziemi i rzuciwszy z powrotem szpargały do skrzynki, porwał rubla i wybiegł z domu.

Prawie spokojnie wszedł do powroźniczego sklepu i obojętnym głosem zażądał mocnego sznurka do zaciągania kosza. Grzeczny subjekt podał mu kilka gatunków, lecz żaden nie podobał się poecie. Andrzej wybierał i grymasił. Ten był za gruby, ten za cienki, wreszcie zniecierpliwiony subjekt zaproponował poecie, aby o ile może, pofatygował się jutro, gdyż w tym czasie nadeślą z fabryki specjalnie na obstalunek pewnego zakładu rymarskiego, przygotowany sznur, przesiąknięty smołą.

— Ten będzie jak rzemień — rzekł z ukłonem.

W sercu Andrzeja coś zadrgało radośnie—jutro! Już chciał wyjść, kiedy nadszedł właściciel sklepu, niosąc żądany sznur.

— Wygadujesz pan głupstwa — rzekł do subjekta. — Obstalunek przyszedł już dzisiaj, jak pan byłeś na obiedzie. Ile pan potrzebuje? — zapytał Andrzeja.

Jego coś zamroczyło, ale odpowiedział spokojnie:
— Kilka łokci!

Zapłacił i wyszedł jak pijany. W kieszeni brzęczała mu srebrna moneta reszty z wydanego rubla... i postanowił ją przepić...

Schowawszy paczkę do kieszeni, Andrzej wszedł do „Baru". Była to ta sama restauracja, w której się spotkał kiedyś z Janem. Poeta, płacząc w duszy krwawymi łzami smutku — wodził wzrokiem po stolikach i zatrzymał spojrzenie na tym pamiętnym rogu, w którym się wyspowiadał Janowi. Obstalowawszy coś do jedzenia, usiadł na tym samym miejscu i patrzał naprzeciw, jakgdyby się spodziewał zobaczyć pogodną, uśmiechniętą twarz Jana.

Tymczasem zrobiło się już zupełnie ciemno. Za-

sowywać do okoliczności wśród których pracuje, a nawet do wymagań danej chwili, uciekać się do argumentów *ad hominem* raczej, niż *ad rem*.

Inny cel, inna też metoda.

Ale przedmiot ten sam.

Te same historje, te same zasady, bo innych być nie może, głosi głęboki uczony, co pierwszy lepszy dziennikarz. Praca dziennikarska polityczna służy tym samom ideom, nad których ustaleniem i pogłębieniem pracują uczeni w swych samotnych gabinetach. I tutaj właśnie ukazuje się nam związek pomiędzy pozornie wrogimi sobie, nauką i publicystyką, nie tylko związek, ale nawet ścisła zależność.

Jeśli bowiem publicystyka, względnie polityka, innych idej i innych podstawowych teorji do życia stosować nie może, jak teorje, które stanowią przedmiot i owoc nauki, to oczywiście im te teorje będą lepsze, im znajomość praw społecznych będzie doskonalsza, tym lepszą będzie publicystyka i polityka, tym skuteczniejsze działanie jej na wolę ludzką i jej owoce.

Jakkolwiek zdobycze nauki nie mają bezpośredniego zastosowania w życiu, ani metoda naukowa bowiem, ani psychika uczonych, potrzeb jego zaspokoić nie może, niewątpliwie wszakże, nauka oświeca umysły działaczy praktycznych, podnosi poziom, pogłębia i wzbogaca ich czyn.

Nie potrzeba, jak wspomniałem, aby polityk siedział w książkach, aby z nich czerpał wskazówki dla swej działalności. Zdobycze wiedzy przychodzą do niego innymi, powiedziałbym, tajemniczymi drogami.

Ilu ludzi czytało dzieła Kopernika, Newtona, Russa, Darwina, Marksa, którzy tworzyli lub formułowali terje, tak obwite w następstwa społeczne.

A jednak te teorje przenikały do społeczeństwa, porywały za sobą masy, choć te o ich autorach najczęściej nie słyszały.

Rozwój ludzkości zaznacza się szeregiem nazwisk myślicieli, którzy ześrodkowali w sobie prądy nietylko umysłowe, ale i społeczne swej epoki.

Okazuje się, że to życie, które tak zdala od siebie trzyma świat uczony, które tak unika metody naukowej, jest tak ściśle z rozwojem nauki związane! Jeżeli mówiłem powyżej o ich antagonizmie, to dlatego, aby uwydatnić, gdzie szukać należy ich związku.

Nie o to chodzi, aby uczonych zaprządz do polityki, a polityków do nauki, ale o to, aby uczeni i politycy byli na swoim miejscu.

Niech uczeni dążą do prawdy, do poznania, niech politycy siłą woli i rozsądku udoskonalają warunki życiowe, a światło pracy gabinetowej spłynie na ich czyny, podniesie ich poziom.

Byle w krajn była nauka.

Brak jej stanowi tragedję naszego życia, bo polityka kraju jest zawsze tyle warta, co jego nauka, pomimo to, że pozornie niema między niemi związku. A u nas nauki właściwie niema, bo niema uniwersytetu, poza którym wiedzy istotnej być nie może.

To też nasza publicystyka, nasze rozprawy polityczne, nawet nasza polityka, noszą na sobie wybitne cechy braku ogniska objektywnego poznania, tego światła, które by mogło być sprawdzianym naszych wskazań politycznych.

Brak nauki sprawia, że poziom ogólny, zresztą pod wpływem warunków zewnętrznych, jest dość nizki, że przestaliśmy dbać o dobra najwyższe.

Cywilizacja i rozwój dokonywa się na szczytach społecznych.

O moralności ogółu decydują najmoralniejsi, o rozumie jego najmędrsi, o charakterze mający najwięcej miłości w sercu. I to co najwyższe i najlepsze, to stanowi skarb społeczeństwa, fundament jego budowy, zawiązek jego przyszłości.

I ku hodowli tych najwspanialszych roślin bytu narodowego należy skierować największe wysiłki, bo stamtąd płyną wzory dla wszystkich, płyną podstawy i formy życia, gwarancje jego rozwoju i pomyślności.

W numerze jubileuszowym „Przeglądu sądowewego i administracyjnego", z przed lat kilkunastu, adwokat Oskar Szeller zamieścił genialny wprost aforyzm, który, o ile pamiętam, brzmiał: „nie chodzi o to, że są źli, ale o to, ażeby dobrzy byli lepsi".

Dopóki ci dobrzy u nas, nie będą lepsi, dopóki brak nam będzie ogniska, czy ognisk myśli naukowej, które oświecać będą swymi tajemniczymi drogami uczucia i wolę naszych działaczy politycznych, dopóty nie zdobędziemy się na żadną rozumną i celową dyrektywę, a przeciwnie, najbardziej płytkie i fantastyczne kierunki będą miały zapewnione bezwzględne powodzenie.

Józef Lange.

---

padł wieczór. Poeta chwiejnym krokiem wyszedł na powietrze i stanął jak odurzony. Objęła go fala przesuwających się ludzi o twarzach obojętnych. Nie patrząc na nikogo — szedł w kierunku swego mieszkania, czując, że za każdym krokiem krew ucieka mu z serca. Gdy wstąpił na wschody, zrobiło mu się tak straszno, że oparł się o poręcz — i czekał!

— „O! daj mi jeden uścisk swoich białych dłoni i pozwól przycisnąć swoje usta do twoich ust, które są jako róże rozkwitłe w blaskach złotego wschodu"... wyszeptał. O, zobaczyć ją!... Raz jeden ją zobaczyć! O, pocałować, przytulić się do niej, położyć głowę na jej piersi — i kochać... A potym niech się dzieje co chce... Ale przedtym raz jeden zobaczyć jej oczy promienne... Mila!... och kochana!

A potym ciężko, jakdyby dźwigał ciężar po nad siły, szedł ku drzwiom. Z lękiem otworzył drzwi do przedpokoju — jakgdyby wchodził do grobu. Wiedział, że już robi to po raz ostatni — i westchnął ciężko. Prawie nieprzytomnie chwycił za klamkę swego pokoju i wszedł.

— Oto moja kaplica i mój grób! — pomyślał wchodząc. — Tu się zbiegnie policja, sąsiedzi, gospodyni. Tu przyjdzie Jan, który zapewne wyprawi mi pogrzeb. A ona?.. Och nie! Ona nie przyjdzie — zbyt bolesny widok. A szkoda, bo może oczyma mojej ulatującej duszy zobaczyłbym ją... i posłał pozdrowienie.

Fala obłędnej tęsknoty chwyciła go za włosy jak dłonie i rzuciła z płaczem. Andrzej padł, szlochając jak dziecko. I oto stało się coś dziwnego. Z pod okna wstała jakaś kobieca postać i szła ku niemu. Andrzej nie widział tego, leżąc na kanapie twarzą w dłoniach. Uczuł tylko na głowie dotknięcie delikatnej ręki i usłyszał cichy głos pani Emilji.

— Dlaczego pan płacze... Ja tu czekam na pana.

— Kto to? — zawołał w przekonaniu, że oszalał.

— Ja... Nie poznaje pan już mego głosu?... Przyszłam, bo Jan niema odwagi pana przeprosić!...

Andrzej stał przed nią śmiertelnie blady i drżący...

— Więc to pani — wyszeptał, i nagle rzucił się ku niej i objąwszy ramionami jej nogi, przycisnął twarz do jej kolan.

— Kocham cię, kocham! — zawołał, ryknąwszy straszliwym płaczem. Kocham cię — Mila, kocham, kocham!...

Listy z Galicji.

XV.

(Śmierć ks. Stojałowskiego. – Zjazd delegatów demokracji polskiej. — Stronnictwa ruskie. — Obecna sytuacja w parlamencie wiedeńskim)

Ksiądz Stojałowski umarł... Był to niezawodnie człowiek niepospolity, obdarzony licznymi przymiotami i wadami. Życie jego, wypełnione ciągłą walką, splatało się jaknajściślej z historją Galicji z ostatnich lat kilkudziesięciu.

Był on pierwszym pionierem ruchu ludowego w Galicji; on to wciągnął po raz pierwszy włościan galicyjskich do życia politycznego kraju, on ich zaczął pierwszy organizować. Obdarzony z natury dużymi zdolnościami, bardzo energiczny, rzutki, Stojałowski był zarazem zmienny, płytki i kłótliwy. Szczerze przywiązany do ludu i pragnący jego dobra, znający doskonale jego dolę, nie miał nigdy określonych poglądów socjalno-politycznych

Wytykał nadużycia władz wobec włościan, wskazywał na ich nędzę i zaniedbanie, nie umiał się jednak nigdy wznieść do sformułowania głębokich reform społeczno politycznych, któreby mogły zmienić gruntownie położenie ludu.

Agitacja jego była albo zbyt ogólnikowa, albo zbyt osobista i dlatego nie zdołała należycie uświadomić włościan pod względem obywatelskim. Stwarzała tylko ferment, ośmielała i organizowała... torując drogę innym działaczom

Ks. Stojałowski, w walce swojej z rządem i właścicielami ziemskimi, napotkał na silny opór kleru, na prześladowania ze strony biskupów, był wyklinany, więziony, pozbawiany probostw i t. d. Na tle takiej walki powstają zwykle reformatorzy religji, kościoła, społeczeństwa... Stojałowski pozostał księdzem katolickim, a choć był krnąbrny i niekiedy zuchwały, to jednak nie wyszedł po za ramy stworzone przez wiekową organizację kościoła.

Pomimo kilkudziesięciu lat pracy wśród ludu, który znał i kochał, nie pozostawił po sobie prawie zupełnie uczniów, a stronnictwo jego topniało coraz bardziej już pod koniec jego życia.

Stojałowski był typowym demagogiem. Chcąc mieć posłuch mas, posługiwał się niegodnymi środkami i nie był zupełnie wybredny w poszukiwaniu dla siebie sojuszników.

Zmieniając ciągle swój stosunek do innych stronnictw, w latach ostatnich stał się wiernym sojusznikiem narodowych demokratów, którzy chętnie mu wybaczyli jego błędy i pragnęli wyzyskać jego stosunki wśród ludu dla siebie. Już na łożu śmierci odstąpił swoje pismo *Wieniec i pszczółka* posłowi narodowo demokratycznemu Zamorskiemu.

Po jego śmierci, wszechpolacy, w prasie i w mowach pogrzebowych, uznali się za jego spadkobierców, podnosząc niepomiernie jego zasługi i tłomacząc bardzo nerwowo jego błędy.

Dnia 22 października odbył się zjazd delegatów demokracji polskiej. Z uchwał na nim powziętych zasługuje na uwagę oświadczająca się za ustępstwami wobec Rusinów. Na zjeździe tym nie powzięto żadnych ściśle określonych rezolucji, zarysowały się tylko pewne tendecje. Demokracja Polska znajduje się w fazie organizowania się i tworzenia nowego programu. Następny zjazd nada zapewne stronnictwu wyraźniejsze kształty.

Demokracja Polska zdobyła sobie już jednak poważne stanowisko w kraju i podkopała znacznie demokrację narodową.

Pomiędzy stronnictwami ruskimi walka już od dłuższego czasu odbywa się zacięta.

Tak zwani moskalofile tworzą obecnie dwa stronnictwa: jedno dawne „umiarkowane" jest w stanie upadku, dziennik jego *Hałyczanin* drukowany jest w zepsutym języku rosyjskim; drugie młode, korzystające z protekcji hr. Bobryńskiego i pokrewnych mu żywiołów, nie posiada również punktu oparcia w szerokich masach ludu ruskiego, odznacza się jednak od tamtego większą ruchliwością, dziennik jego *Prikarpatskaja Ruś* drukowany jest w poprawnym języku rosyjskim.

Młode stronnictwo moskalofilskie występuje odważniej od starego. Jedno i drugie nie uznaje Rusinów za naród odrębny, lecz tylko za odłam narodu rosyjskiego. Polemika która toczyła się przed kilku tygodniami pomiędzy wymienionymi wyżej dziennikami, wykazała, że oba odłamy moskalofilów starały się o pomoc wszelkiego rodzaju wśród wpływowych sfer rosyjskich. Nowe stronnictwo moskalofilskie było jednak szczęśliwsze.

Podolacy i narodowi demokraci, z nienawiści do Rusinów (Ukraińców) chcieliby, aby władze krajowe i państwowe popierały „umiarkowanych" moskalofilów inaczej Starorusinów.

Otóż ci „umiarkowani" mają te same cele co i „radykalni", są tylko powściągliwsi od nich i mniej energiczni, Wpływ tych „umiarkowanych" jest w społeczeństwie ruskim minimalny.

I nagle uczuł na ustach swoich jej usta gorące i słyszał szept, prosto do mózgu idący, słodki jak śpiew aniołów, w mirażach umierającego, pachnący jak wieńce róż, przejmujący jak rozkosz...

— Tęskniłam za tobą.

— Ty?... Zerwał się i spojrzał w jej oczy płomieniem podziwu i szczęścia bez granic.

— Ty tęskniłaś?

— Po twoim odejściu!

Nachylił się ku niej i z ustami przy ustach wyszeptał:

— Ty jesteś... jak śmierć.

— Miłość! — wyszeptała, przymykając oczy.

— Kocham cię!

— Ach! ty...

Przycisnął usta do ust i przesunął po nich wargami. Przed oczyma miał jej oczy przymknięte, jakgdyby zastygłe w słodyczy i szedł ustami po tej cudnej, białej twarzy, omdlewając ze szczęścia, nieprzytomny z radości sz.l.nej, która go odurzała jak śmiertelny taniec namiętności.

Nie zapalając lampy, usiedli koło siebie, nie oswobadzając się z objęć. Poecie zdawało się, że śni, że za chwilę obudzi się na dnie rozpaczy, że wizja radosna rozwieje się w przestrzeni. Ale ona mówiła cicho, słodko, że go kocha. Zaraz po jego odejściu uczuła tęsknotę, potym Jan był coraz obojętniejszy, nie mogąc jej przebaczyć zdrady wymyślonej. Tęsknota szła coraz silniejsza, coraz bardziej dławiła ją chęć zobaczenia go, wreszcie poczuła, że go kocha. „Och, tak... Kocham cię" — szeptała. — Mój drogi, mój miły!... Tęskniłam za tobą tak bardzo...

I lekko przysuwała usta do jego twarzy... całując go z uśmiechem radosnego oddania!

— Skąd wiedziałaś, gdzie mieszkam — zapytał po chwili.

— Jan mi powiedział. On żałuje tego, co się stało. Chce cię przeprosić, uwierzywszy, że ja cię nie kochałam ani ty mnie. I to jest prawda. Dlatego prosił mnie, abym poszła do ciebie przeprosić cię w jego imieniu. Chce zgody!

— Dzisiaj — wyszeptał poeta z rozpaczą.

— Tak... dzisiaj... kiedy ja... już nie jego kocham.

— I kiedy ja... — urwał, patrząc na nią nieprzy-

Polska prasa konserwatywna w Galicji przepełniona jest, w czasach ostatnich, wiadomościami o wzmaganiu się na siłach nowego stronnictwa rusińskiego (ukraińskiego) p. Barwińskiego z programem chrześcjańsko-socjalnym.

W dawniejszych swoich „Listach" zaznaczyłem już, że stronnictwo to nie posiada żadnego określonego programu i że wpływ jego jest bardzo nieznaczny. Obecnie mogę to tylko dodać, że pomimo szumnych manifestów, zjazdów, konferencji i t. p. wydawanych i odbywających się w czasach ostatnich, nie stało się ono silniejszym.

Rusini są społeczeństwem demokratycznym nawskroś, nie okazują też i nie okazywali skłonności klerykalnych. Księża ruscy są naogół znacznie bardziej wolnomyślni od polskich, wyszli z ludu i liczą się z jego potrzebami.

Stronnictwo p. Barwińskiego konserwatywne i klerykalne liczyć może tylko na poparcie części duchowieństwa. Nawet arcybiskup Szeptycki, człowiek bardzo światły i utalentowany, chociaż stoi na czele duchowieństwa ruskiego, nietylko nie należy do stronnictwa p. Barwińskiego, ale nawet nie otacza go specjalną opieką.

Niektóre stronnictwa polskie łudzą się, że p. Barwiński zdobędzie wpływ potężny wśród Rusinów i że można będzie z nim a nie z innymi stronnictwami zawrzeć ugodę. Otóż są to niebezpieczne iluzje, które powinny się rozwiać prędko.

Radykali i narodowi demokraci ruscy zwalczani są przez p. Barwińskiego, jest to jednak walka publicystyczna, nie mająca żadnego wpływu na szerokie koła społeczeństwa rusińskiego

Tylko poważne ustępstwa, zrobione Rusinom mogłyby wpłynąć na powstanie wśród nich nowego stronnictwa politycznego, przyjaźnie usposobionego wobec Polaków, pozbawionego radykalizmu, że tak powiem, taktycznego w walce.

Istniejące obecnie stronnictwo narodowo-demokratyczne składa się z żywiołów radykalnych i umiarkowanych. Obecnie radykalne mają w nim przewagę. Ustępstwa ze strony Polaków mogłyby zapewnić wpływ żywiołom umiarkowanym. [1]) Samo życie zresztą działa w kierunku różniczkowania się stronnictw. Zwiększanie się liczebne inteligencji rusińskiej, zajmowanie przez nią stanowisk odpowiedzialnych w administracji, wśród dobrobytu pewnej jej części (adwokatów, profesorów, kupców i t. d.) wszystko to musi w końcu zróżniczkować stronnictwo narodowo-demokratyczne dziś najsilniejsze. Umiejętna polityka polska, polegająca na ustępstwach racjonalnych — może i powinna procces ten przyśpieszyć.

Sytuacja polityczna w Wiedniu znacznie się zaostrzyła: sprawa drożyzny denerwuje ogół, posłowie muszą się z faktem tym liczyć, rząd niechce znowu narazić sobie agrarjuszy i Węgrów i dopuścić nieograniczony dowóz mięsa; tarcia pomiędzy Czechami a Niemcami nie ustają; pozatym różni przywódcy stronnictw radziby dostać teki ministerjalne i dlatego spekulują na przesilenie gabinetów.

Koło polskie w czasach ostatnich zyskało na znaczeniu i stanowi znowu poważną siłę. Prawdopodobnie dr. Biliński zostanie później prezesem ministrów...

Ludwik Kulczycki.

[1]) Używam tu terminów „radykalne" i „umiarkowane" w stosunku do żądań narodowych, skierowanych do Polaków, oraz do środków walki.

BADANIA NAUKOWE.

Filozofja momentu.

Ogół zjawisk myśli ludzkiej rozpatrywany ze stanowisk abstrakcyjnej jedności prawdy, czy też ujęty w ramy pluralistycznych doktryn, jest myślą hierarchicznie wyższą od samego pojęcia o świecie. Tu też należy szukać przyczyn tak olbrzymiego wpływu teorji poznania na kierunki filozofji współczesnej i logicznego zamętu w teorji wartości. Logizowanie świata bezpośredniego, a co zatym idzie urojone żądanie konsekwencji w życiu tak osobniczym jak społecznym jest skutkiem owego przestawienia kryterjów i pomieszania pojęć panującego, prawie że powszechnie w łonie inteligencji europejskiej, a mającego właściwe swe źródło w hierarchicznych upodobaniach twórców danego kierunku.

Fakt, że pewna kategorja myślowa istnieje, jako element poznawczy, nie dowodzi jej wyższości hierarchicznej i istotnej nad życiem bezpośrednim i jego poszczególnymi objawami.

Dość często słyszy się dziś zarzuty skierowane przeciw „amerykanizmowi" w filozofji, przeciw jej

---

tomnie — kiedy cię kocham do obłąkania, kiedy już nie mam prawa zasiadać do waszego stołu i patrzeć Janowi prosto w oczy. Kiedy już dawny spokój przepadł na zawsze! — dzisiaj on do mnie rękę wyciąga... gdy ja za jeden twój uśmiech oddałbym bogactwa, gdy ja już nie jestem jego serdecznym druhem na śmierć. Gdy ponad wszystkie rozkosze świata ja stawiam ciebie — ciebie, mój śnie bez granic radości, mój złoty motylu, mój słodki aniele, mój bogu wiecznej, nieśmiertelnej szczęśliwości — ty moja Miłość, jak śmierć odurzająca nieskończonością! Kocham cię! I niema poza tym nic i nic być nie może! Dzisiaj ja jestem umarły i to jest nasze pożegnanie!

— Nie chcesz go oszukiwać?—wyszeptała cicho.

— Nie mogę!...

— I nie przyjdziesz do nas?...

— Nigdy!

— I mnie nie zobaczysz?...

— Będę cię widział ciągle!

— O tak!... Przysunęła się do niego i przylgnęła całym ciałem.

— Tyś mój kochanek? — wyszeptała, jakby się pytając. I białe, pachnące ręce objęły go za szyję. Jam twoja.

— Do końca *mego* życia — dodał Andrzej, uśmiechając się dziwnie. — I jam twój do ostatniego tchnienia.

Popatrzał jej prosto w oczy i rzekł poważnie:

— Tyś jest jak śmierć!

I położył swe usta na jej ustach wilgotnych, składając na nich pocałunek, brzemienny wiecznością! Objęła go fala przejmującego smutku — i zdawał się umierać w spokoju.

Mińsk Mazowiecki, 28—VII, 1911.

K O N I E C.

pojmowaniu intuitywnemu, a cóż dopiero za orgje święci grono z natury obdarzonych logiką mężów, zapamiętale odmawiających prawa do filozofji myślicielom, moralistom tej miary, co Nietzsche, Stirner i mistykom à la Maeterlink, Emerson. Panowie ci, których jedynym sprawdzianem wartości myśli jest norma logiczna, a ideałem suchość i formalistyka myślenia [1]) są jednakowoż przeżytkiem tradycyjnym, a owo ich małpowanie i naśladownictwo klasyków jest niedołęstwem myśli i uczuć zmechanizowanych potworków, prących usilnie ku zakamieniałym i zmurszałym gmachom przeszłości historycznej. Pominąwszy owe zupełnie bezwartościowe, charakterystyczne jeno dla naszej epoki objawy przejdźmy do zadań własnych.

Będziemy się zastanawiali nad filozofją nie w szczególności, to znaczy pominiemy pojedyncze systematy myślowe, lecz nad filozofją wogóle, jako wytworem inteligencji ludzkiej, bez ograniczeń czasowych przestrzennych i t. p.

Idzie nam bowiem o odpowiedź na pytanie, czym jest filozofja jako taka i jaką rolę spełnia w życiu stwarzającego ją osobnika. Kusić się o wyznaczanie jej celów, dróg wytycznych, byłoby objawem nie tyle zarozumiałości, ile despotyzmu, gdyż jawną by była tu chęć narzucenia powszechnego, oznaczonego z góry celu, wszelkim objawom myślenia o rzeczach, a takie dogmatyzowanie w niczym nieskrępowanym wyrazie inteligencji ludzkiej, jakim jest filozofja, nie ma podstaw. Filozofji nie kreśli granic jednostka ani jednostki, ani też żadna forma najwyższego uogólnienia, lecz treść przeżywanego momentu i tylko a wyłącznie jako akt świadomego kojarzenia wrażeń czyli poznanie możliwości twórczych jest ona wartościową i obowiązującą.

Myśl ludzka przedmiotem wiary powszechnej być nie może, religijność jest cechą jej uspołeczniania się. Gdyby filozofja mogła dać swe ostatnie obowiązujące powszechnie słowo, równałoby się to, podciągnięciu wszystkich ludzi pod jeden ogólny miernik, uznaniu zdolności, wiedzy, podkładu psychicznego wszystkich ludzi za równe lub, co gorsze, zbydlęceniu wszelkiej samodzielnej myśli.

Nie tylko masy dyletantów, lecz i filozofowie oficjalni popierają i rozpowszechniają mniemanie, że filozofja, to nauka dająca w formie ogólnego abstrakcyjnego myślenia, odpowiedzi na kwestje natury myślowej nasuwające się w życiu, lub też praktyczne wskazówki utylitarne odpowiednio do potrzeb konstytuującego ją osobnika. Ze zbiera i zbierać powinna plony badań nauk szczegółowych, stwarzając w formie uogólnienia, syntetyczne pojęcie o świecie. Rola jej odbiega od postulatów woli, nie daje rzeczywistości codziennej nic z wyjątkiem zaspokojenia dogmatycznego potrzeby poznawczej.

W ten sposób dochodzi się do określania filozofji, jako nauki samej w sobie, mającej fikcyjne dążenie do prawdy za cel, oderwanej od naszej jednostkowej rzeczywistości, zaspakajającej jedynie postulaty naszego rozumu.

Definicje filozofji spotykane często w podręcznikach wstępów, czy też w dziełach historycznych ujmujących przedmiot, określają ją zawsze, jako abstrakcyjne ujęcie wiedzy niższego rzędu, opartej na danych nauk szczegółowych.

Zrozumiałym jest, że określenia te podawane w większej części przez historyków filozofji zawdzięczają swe podobieństwo jednemu tematowi i jednolitej treści, niepozwalającej na roztrząsanie teorjo-poznawcze, lecz wymagającej definicji ogólnej, opartej na historji.

Inaczej określi ją twórca systemu posiadający zadanie myślowo-twócze (co bezwarunkowo wpływa na jakość i wartość określeń). My zaś będziemy rozpatrywali szczególnie ten drugi wypadek.

Idzie tu bowiem nie o to, co przypisywano filozofji i co jej dotychczas przypisują, lecz czym jest ona w swej istocie, w swym genetycznym momencie.

Metoda historyczna jest tu niezbędna, lecz nie stanowi ona integralnej części dowodzenia; przebiegniemy historję w celu unaocznienia powszechnego subjektywizmu panującego na tym polu.

Arystoteles określa filozofję, jako wiedzę. Stoicy nadają jej znaczenie utylitarne i stawiają jej cele praktyczne, jako to rozwój męstwa, cnoty i innych zalet uznanych ogólnie za dodatnie, podobnie jak Epikur zabarwia ją owym eudaimonizmem mówiąc, że jest ona rozsądnym dążeniem do szczęścia. Widać tu w dwu ostatnich wypadkach, w kładanie treści życia, dążeń głosicieli kierunku w formy myślenia. Cel, który myśliciel postawił sobie, jest pomieszany z myślowym jego ujęciem, nawet nie środkiem. Identyfikuje się niejako życie realne z jego ujmowaniem bez uprzedniej analizy, co jest wykluczone, gdyż samo rozpatrywanie zalet i dążenia ku nim byłoby jednoznaczne z faktycznym dążeniem i posiadaniem ich. W ten sposób określenie to doprowadza się do absurdu. Po drugie, cele te wymagałyby do realizacji raczej systematu etycznego, przepisów prawno-państwowych, niż filozofji, w której niema miejsca na treść pojęć ogólnych, jak cnota, męstwo, lecz jedynie na ich formę. Dalej scholastycy, jak Justinus Flavius, Scotus Erigena uważają filozofję, w myśl panującej powszechnie w średniowieczu zasady i idei metafizycznej Boga, za jednoznaczną z religją. Nic dziwnego, następuje tu klasyfikacja nauk ze stanowiska teologji, filozofja zaś staje się czymś podrzędnym, nauką pomocniczą w dociekaniach metafizycznych. I tak Tomasz z Akwinu powiada, że „prawie cała dążność filozofji kieruje się ideą poznania Boga". Dopiero Baco Verulamus określa filozofję, jako naukę opartą na rozumie; nie wyzwolony jeszcze w zupełności ze scholastycyzmu w ślad za Albertusem dzieli ją na dwie części na „philosophia prima" i „philosophia humana", a do tej pierwszej opartej na zasadach metafizycznych zalicza teologję.

U Bacona spotykamy w jego „Instauratio magna" i „Organonie" dokładny plan metodologiczny i plan zadań filozofji. Prawie cała jego praca na tym się ogranicza. Nikt przed nim nie zadał sobie trudu zrozumienia i zreformowania metod filozoficznych. Arystoteles był ostatnią instancją, dlatego też Baconowi przypada zasługa teoretycznego obrobienia metody indukcyjno-empirycznej. Teoretycznego mówię, ponieważ metoda faktycznia istniała i niema mowy, aby istnieć nie mogła kiedykolwiek Stosował ją, już przed Baconem całkiem wyraźnie w badaniach naukowych Galileo Galilei. Pozostaje ona w stosunku do Bacona, jak prawo ciążenia Newtona do faktycznego ciążenia wszystkich ciał. Jednak od Bacona datuje się przewrót w metodzie badań naukowych, wprowadził on ją bowiem jawnie, bez obsłonek. Już Hobbes tknięty wpływem indukcji określa filozofję jako poznawanie rzeczy z ich przyczyn, a późniejsi np. Christian Wolff wiążą jej istnienie z przyczynowym poznaniem rzeczy. Tak do Kanta idealizmu krytycznego. Kant, który za Humem i Berkeleyem zerwał mosty między światem zewnętrznym, zakwestjonował możliwość poznania rzeczy samych w sobie, mimo tego, że istnienia ich nie zaprzecza, niszcząc wszelkie szczątki dualizmu, z których płynęły wyżej zaznaczone podziały filozofji, pozostawia jedynie subjektywną realność i ona jest tem, na którym buduje swą filozofję. Filozofja Kanta i Hume'a to nauka o zasadach poznania (logika, teorja

[1]) Zjawisko to powszechne u nas w Polsce. Tacy panowie, którzy przy sposobności recenzowania przez Jamesa zaznacza, iż „takie rzeczy mogą być czytywane przy czarnej kawie (!) nie ma tam bowiem owej dyscypliny myślowej są dziś areopagiem polskiej filozofji, wyklinających wszystko, co odświeża zatęchłą atmosferą myśli polskiej.

poznania) i działania. Nauka (jak ją określa „conceptus cosmicus" Kanta) o stosunku do istotnych zadań ludzkiego rozumu. To znaczy, że filozofja ma za zadanie porządkować teoretyczne zasady poznania, ich układ i t. d., co się da sprowadzić do pojęcia logiki. Lecz w tym wypadku nauka byłaby czymś oderwanym od realnego świata, czymś, co poznaje, porządkuje bez istotnej racji, słowem czysto teoretyczną zabawką.

Dalsze określenia, jak Hegla filozofja myślowego oglądania rzeczy, Herbarta określanie pojęć (logika) Feuerbacha — poznanie tego, co istnieje (was ist.) nie mają znaczenia w historji filozofji o tyle, by charakteryzowały epokę, jedynie może jako ilustracje do wyżej wspomnianego subjektywizmu w określeniach.

(C. d. n.) *Stanisław Baczyński.*

Mnichy i Papieże.

3)

(Ciąg dalszy).

Kultura umysłowa, której daje świadectwo kronika Glabera, była równie uboga, jak duch religijny. Okrzyk Grzegorza z Tours, z głębi VI stulecia wołającego: „Biada nam, iż dopuściliśmy do zagłady skarbów piśmiennictwa!" — nieustanne znajduje potwierdzenie ze strony każdego z dzisiejszych czytelników tej ubogiej duchem kroniki.

Próbę umysłowości, jaka znalazła w niej odzwierciedlenie, może nam dać stanowisko, zajęte przez jej autora wobec pewnej herezji, wielce osobliwej, która podówczas szerzyć się jęła w Rawennie. Niejaki Vilgardus, gramatyk z zawodu, był tej herezji sprawcą. Oddając się dociekaniom gramatycznym w stopniu o wiele wyższym nad zwykłą miarę, zdaniem naszego kronikarza, nie potrafił on ujść zasadzkom czyhającego nań kusiciela; powodowany „pychą i głupotą" rozmiłował się on w pisarzach pogańskiej starożytności; pewnej nocy, gdy zasnął, ukazali mu się trzej szatani, przybrawszy na się postać i wygląd Wirgiljusza Horacego i Juwenala, autorów, których właśnie cenił nad wszystkich innych. Złożywszy wielbicielowi swemu głęboki ukłon, pozdrowili go oraz dziękowali za pilność, której dokładał czytając ich dzieła oraz roznosząc ich sławę, w końcu obiecali mu, że dostąpi chwały takiej, jaka im przypadła w udziale. „Ów człowiek, ciągnie dalej kronikarz, — uwiedziony obietnicą djabelską, zuchwale jął rozprzestrzeniać nauki przeciwne wierze świętej: twierdził on, iż wierzyć należy każdemu słowu tych poetów Schwytany i stawiony przed sądem, jako heretyk, skazany został wyrokiem Piotra, biskupa miejscowego. Wykryto w tymże czasie mnóstwo osób, tą samą herezją zarażonych: wytępiono je ogniem lub żelazem".

Słowa powyższe wymownie dowodzą głębokiej nienawiści mnichów średniowiecznych względem klasyków starożytności. Święty Odo, przeor klasztoru w Cheny, nierozważnie sięgnął ranka pewnego po jedno z dzieł Wirgiljusza, otworzył je i zaczął czytać. Aliści ręka boża czuwała nad nim: ostrzegł go o niebezpieczeństwie opiekuńczy sen. Nocą, mianowicie ujrzał on we śnie naczynie wielce okazałe, z którego dobywały się węże jadowite; obudziwszy się, tejże chwili odgadł, że sen ów był obrazem zgubnych myśli, zawartych w ponętnej mowie pogańskiego wieszcza. Od tego dnia nie brał nigdy już do ręki ksiąg innych, prócz pisma świętego, a kiedy stanął na czele zakonu benedyktynów we Francji, bezlitośnie skazał na banicję ze szkół nowicjatu wszystkich pisarzy świeckich.

Hagjografowie ówcześni najchętniej prace swe rozpoczynają od słów, brzmiących na kształt przysłowia: „Ten i ten, wyrzekając się próżności nauk, szukał schronienia w klasztorze".. Papiestwo, dalekie od przeciwdziałania ciemnocie i nieludzkiemu wyjałowieniu myśli pośród mnichów, samo gardziło książką i stopniem władzy jeno różniło się od braci klasztornej. Sobór biskupów, zwołany pod egidą królów Hugona i Roberta, z dynastji Kapetyngów, publicznie oskarżył papieża JanaXVI o nieuctwo; ów papież wierzył, że Platon i Wirgiljusz byli czarnoksiężnikami, umiejącymi wzlatać na powietrze i grążyć się pod wodą.

Gerbert, wychowany na piśmiennictwie starożytnym, obeznany z nauką rabinów żydowskich i arabskich doktorów, snadnie uchodzić mógł, w oczach współczesnego sobie świata, za czarodzieja. Glaber przyznaje mu wprawdzie „dar umysłu przenikliwego i w sztukach wyzwolonych ogładzonego", ale natychmiast dodaje i podkreśla w jego charakterze upodobanie intryg i wygórowaną ambicję Niewątpliwie, chwila, w której cesarz Otton III w r. 999 wwiódł na stolicę apostolską dawnego mistrza z Reims'u, swego nauczyciela, była chwilą oniemiałego zdumienia we wszystkich klasztorach chrześcjaństwa: szmer niepokoju i zgrozy leciał od zakonu do zakonu; niejeden chwytał księgę Apokalipsy i rozczytywał się na nowo w jej zagadkowych znakach, aby czerpnąć w niej wskazówki co do najbliższej, groźnie straszącej przyszłości. Braci klasztornych ogarnęła trwoga, aby ów dziwny papisz nie powziął karkołomnego zamiaru narzucenia zakonom obowiązku badań naukowych łącznie z obostrzeniem surowości reguł. Sylwester II wszelako, jeśli kusił się zrazu o tego rodzaju przedsięwzięcia, to mimo cały swój genjusz, rychło poniechać musiał swych zamiarów.

Trwogę kościoła niezawodnie spotęgowali jeszcze błędni, wędrujący mnichowie, jacy w wieku XI po raz pierwszy się pojawili. Byli to weseli towarzysze, odprawiający w ozdobnej łacinie mszę na cześć boga Bachusa; wierzyli oni mocniej w wiersze Juwenala, niż w pisma proroków, czytali Horacego i Owidjusza miast świętego Marka. Podjęli oni i uświęcili kult Wirgiljusza przywracając do czci jego imię, świetlane imię poety, którego z czasem Dante uwielbić miał i rozgłosić, jako pogańskiego proroka chrystjanizmu. W tym kulcie boga starej Grecji, w umiłowaniu poezji w pieśniach wesołego bractwa, błyskało pierwsze mgliste światełko niosące daleką zapowiedź *Odrodzenia.*

(C. d. n.) *St. Romanowski.*

KRYTYKA.

Ostatni dramat L. Tołstoja.

(„Żywy Trup").

Teodor Protasow, główna postać „Żywego Trupa", ostatniego dramatu Tołstoja, napisanego w r. 1900, lecz wydanego już po śmierci autora, nie jest naturą zdolną do życia społeczneg› lub rodzinnego. Jest to jeden z tych, dla których małżeństwo jest zawsze fatalnym posunięciem w grze życia. Małżeństwo sprzęga mocniej ze społeczeństwem, a takie natury, jak Protasow, noszą w sobie popęd do nieograniczonej wolności i bezładu. Jest to w zarodzie „bosiak" i anarchista, przeniesiony przez autora z nizin społecznych w sferę pańską. Zapewne w pożyciu nietylko z Lizą, lecz z każdą inną kobietą, Protasow doszedłby do podobnej katastrofy. Życie rodzinne wymaga ładu, wstrzemięźliwości, nałogu, aby wszystko stawiać na właściwym miejscu. Trzeba się opanować. Pragnienia wybujałe przykrócić. Rozwinąć w sobie senty-

mentalną zdolność wyrzekania się nawet wtedy, gdy poczucie wewnętrzne bunt podnosi. Trzeba pożegnać niejedno złudzenie i nadzieję. Małżeństwo wymaga surowego przetworzenia się i dojrzałości, w nim bowiem odsłania się twarda rzeczywistość dnia powszedniego Małżeństwo nie jest uroczystością świąteczną. Lecz tej właśnie cierpliwej surowości do znoszenia dnia powszedniego i szarzyzny niema Protasow. Dusza jego drży do upojenia, do otrząśnięcia się z męki kłopotliwych godzin. Lecz to dążenie do upojenia przejawia się w postaci prostackiej: nie jako zachodnio europejski kult wytwornej sztuki, lecz jako żywiołowy pociąg do... sztuki w jej formie niebezpiecznej i trywialnej: pociąg do oszałamiania się alkoholem, do gwaru podnieconych rozmów, do pieśni cygańskich... Jakkolwiek pragnie się przełamać, wraca do domu rodzinnego skruszony, żałujący — regularność życia rodzinnego, jego powolne tempo, schludność i jednostajność znów wypędzają Protasowa z domu tam, gdzie się życie spala..

W gruncie rzeczy — jest Protasow człowiekiem żywym i uczuciowym, łagodnym, niechcącym krzywdzić nikogo, a pragnącym żyć w prawdzie. Mógłby on rzec o sobie: jest we mnie dużo człowieczeństwa, lecz nie mogę być obywatelem kraju, mężem, ojcem, radcą stanu. Nie mogę podpisywać waszych papierów, wydawać wyroków, nie mogę nieść waszej służby. To, do czego wy się wprzęgacie z taką ochotą lub poddaniem, mnie zabija. Jam obcy dla was i inny. I dlatego uciekam od was, między ludzi, którzy, jak ja, chcą dla swej tęsknoty upojenia.

Tę wybuchowość jego natury wszyscy naokół, nie wyłączając żony, która go zresztą najbardziej żałuje, i prócz Saszy, młodej dziewczyny, siostry żoninej, która go najlepiej rozumie, traktują jako słabość obrzydliwą i występną. Te wszystkie powroty *Sturm und Drang* perjodu w człowieku dojrzałym, nawroty płochej młodości w mężu i ojcu oburzają rodzinę do żywego i zasłaniają przed nią wartość człowieczą Protasowa. On sam jest zgnębiony swoją fatalną odrębnością i w teorji stoi po stronie tych, co go potępiają, a w praktyce żyje podług podmuchów swej bezładnej fantazji Aż nareszcie zaciął się. Trzeba się rozstać z tymi ludźmi, płacącymi regularnie długi i podatki, z tymi kobietami, pamiętającymi zawsze o włóczce do robót szydełkowych. Przeznacza samego siebie na odpadnięcie od pnia społecznego. Po ostatnim zniknięciu z domu i orgjach zapomnienia wśród pieśni cygańskich — żona wysyła naprzeciw Protasowa pośrednika (Karenina): chce mu przebaczyć, prosi, by wrócił. Lecz Protasow nie chce. Wie, że przebaczenie nie zmieni jego natury. Powiada, że ząb bolący raz wreszcie wyrwać trzeba. Żona pokochała w czasie, gdy ją zaniedbywał, tego właśnie Karenina, osobę bezbarwną, lecz zrównoważoną, daleką od wszelakich szaleństw i wybuchów. Protasow zejdzie im z drogi. Niech będą szczęśliwi, niech się pobiorą. Chce się zabić. Zjawia się rosyjski typek filozofujący, który tę chęć Protasowa podżega, nie ze złego serca, lecz z powodu podniecenia alkoholicznego i wybujałości djalektycznej. „Cóż? Że się chcesz zastrzelić? Można, można. Rozumiem cię. Oni chcą ciebie poniżyć, a ty im pokażesz, ktoś ty. Siebie zabijesz rewolwerem, a ich — wspaniałomyślnością. Rozumiem cię. Ja wszystko rozumiem, bom genjusz!" Lecz ostatecznie Protasow się nie zabija. Poradziła mu inaczej cyganka Masza, z którą Protasowa łączy stosunek, oparty na sympatji, lecz platoniczny. Za jej radą Protasow symuluje samobójstwo, że się utopił, i ucieka w świat wydziedziczonych z Maszą. Była jeszcze trzecia droga: przeprowadzić rozwód z żoną i w ten sposób ją uwolnić. Lecz na to trzeba było systematycznego kłamstwa, uświęconego zwyczajem *tamtych*, ludzi zrównoważonych. Przed tym kłamstwem cofnął się Protasow.

Lecz czemu tak błądzi i szuka nadaremnie? Czemu, uciekając od szarzyzny życia, wpada w trywjalność upojeń jałowych? Bo brak mu pierwiastku twórczego. „Cokolwiek robię — mówi — czuję, że nie tego potrzeba, i wstyd mi. Teraz mówię z panem i wstyd mi. A już być marszałkiem, siedzieć w banku — jakiż to wstyd, jaki wstyd! Wszyscy my, ludzie tej sfery, w której się urodziłem, mamy trzy drogi do wyboru — tylko trzy: służyć, zarabiać pieniądze, zwiększać tę ohydę, w której się żyje. To mi było wstrętne, może tego nie umiałem, lecz głównie było mi wstrętne. Druga droga — burzyć tę ohydę; na to trzeba być bohaterem, jam nie bohater. Albo trzecia: zapomnieć się — pić, hulać, śpiewać—to właśnie robiłem". Jest więc w wyłączeniu się Protasowa z szeregów rodzaj biernego oporu człowieka, który rzeczywistość uznaje za ohydną, oporu wobec zorganizowanej, uznającej siebie za prawidłową, normy życia społecznego.

Lecz niedarmo Protasow oddaje się najpospolitszemu sposobowi szukania poezji w życiu — alkoholizmowi. Alkohol zdradza, podżega do wynurzeń niewczesnych. Protasow spowiada się przy kieliszku przed niejakim Pietuszkowym ze swej symulacji. Podsłuchuje go szantażysta. Donosi. W sprawę wdaje się policja, sąd. Protasowa oskarżają o to, że podkupiony przez żonę i Karenina, którzy są już małżeństwem, udawał samobójstwo. Gdy sprawę jego sądzą i Protasow dowiaduje się, że w najlepszym razie grozi jemu i Lizie pokuta kościelna i unieważnienie ślubu Lizy z Kareninym, strzałem, wymierzonym w serce odbiera sobie życie. Chce poświęcić resztę swej istoty w ruinie, aby dwoje „dobrych ludzi" mogło żyć dalej razem. Uderza niezmierna pokora tego ustępującego w cień człowieka — przed kim? Ostatecznie przed dawną żoną swoją i Kareninym — to jest przed ludźmi tego świata, mnożącym ohydę życia, z której uciekł między wykolejonych. Lecz może to jest pokora człowieka, czyniącego sąd nad sobą za to, że nie dorósł do bohaterstwa?

W dramacie tylko postać Protasowa jest wykończona. Inne, traktowane pobieżnie—zapewne z umysłu, bo jako typy, nie mają wyższej wartości i żyją niejako wspólnym, mało zróżniczkowanym życiem. A może od dalszej pracy nad tym w wielu scenach dopiero naszkicowanym dramatem powstrzymała Tołstoja myśl, że ostatecznie w tej postaci, jaką nadał dramatowi pierwszy wylew twórczy, jest to dzieło rodzajem cichej, niezmiernie pokornej kapitulacji człowieka, przerastającego swe otoczenie uczuciem, kapitulacji wobec zwartej, zorganizowanej i zautomizowanej większości i że wywoływać może w tej większości zadowolenie, iż bunt sam się ukarał i sprawiedliwości społecznej stało się zadość.

Leon Choromański.

„Cyganerja Warszawska"

w książce[1]) i na scenie[2]).

Trudno w jednym zdaniu zawrzeć całą kolej uczuć, jakie powoduje w duszy czytelnika ostatni utwór dramatyczny p. Nowaczyńskiego. Dodać muszę: w duszy czytelnika, będącego miłośnikiem sztuki, literatury i historji, bo wszystkie te trzy czynniki pulsują i grają w naszej wyobraźni, skoro się wspomni o cyganerji warszawskiej, skoro się wspomni po za nią rok 48, „wiosną ludów" nazwany, i w głębi noc

---

[1]) Adolf Nowaczyński: „Cyganerja Warszawska" —sztuka w 4-ch aktach. Gebethner i Wolff. Warszawa. 1912.

[2]) Przedstawiona w teatrze Rozmaitości d. 4 b. m.

listopadową i na jej tle „długie, nocne rodaków rozmowy“.

Książkę p. Nowaczyńskiego bierze się do ręki z zachwytem, otwiera ją się z niepokojem, zaczyna się czytać z trwogą, czyta się dalej z przymusem, aby wreszcie, dobrnąwszy do ostatniej strony, zamknąć, ją... z ulgą. Przystępuje się do tej książki z tęsknotą, a odchodzi z nudą: kładzie się w nią zapał, a dobywa — zawód i zniechęcenie.

Toli (jak mówi autor) nie uprzedzajmy wrażenia.

Rozejrzyjmy się w położeniu dokładnie.

Rzecz się dzieje w Warszawie, na Starym Mieście i w Zielonej Rudce pod Pułtuskiem, jesienią lat temu sześćdziesiąt i trzy. Czas więc mamy ściśle oznaczony. Królestwom Polskim rządzi „batiuszka“ (jak mówi autor)—komendant kniaź Paskiewicz-Erywański. To ostatnie zdanie ma wagę ram spiżowych, które obraz dramatu niewidzialnie ujmują jakoby w trumnę metalową. To zdanie szydercze i głuche jest w całej sztuce p. Nowaczyńskiego miejscem najsilniejszym.

Ono to sprawia, że bohatreowie sztuki, wesoła brać cygańska, może się śmiać dowoli, może hulać, pić na umór i śmiać się do szaleństwa: czytelnik nie zapomni, że ten śmiech uderza o ściany grobu, i odbity bezlitośnie wraca jękiem echowym w serce, które naprożno zagłuszyć się i opancerzyć pragnie.

Naród nasz po roku 1831 był jak człowiek z którego wytrawiono myśl, i z którego wyciśnięto krew. Powierzchnia życia publicznego wygładziła się w Królestwie jak martwe, stojące nieruchomo jezioro, od wichru północnego ścięte w lodową powłokę. Na przestrzeni trzech dziesięcioleci wygasł ruch umysłowy doszczętnie, nie było żadnej walki idej. „Rzektbyś, że w Warszawie pozostały same tylko kobiety i dzieci, — pisał o prasie polistopadowej Klaczko na emigracji w r. 1857: — pióra i tłocznie pracowały wyłączuie dla nich. W ówczesnych nakładach warszawskich spotykamy bez końca Albumy, Noworoczniki, Wiązania, Podarki, Upominki, Książeczki, a wszystko to dla płci pięknej, albo dla dobrych, grzecznych dziatek“.

A nieco później, w roku 1858, tenże Klaczko, malując kontrast, wynikły między tym obrazem Warszawy, który pozostał w umyśle wychodźców po roku 1831, a tym który roztaczały współczesne dzienniki warszawskie, pisał: „W pamięci wychodźców przedstawiała się Warszawa struchlała, drżąca, łzawa, na kotwicy wsparta, z krzyżem przyciśniętym do piersi, z wzrokiem wzniesionym w niebo... Wtedy nawet, gdy musiała zrzucić zasłonę wdowią i przywdziać strój balowy, byliśmy pewni, że pod nim ukrywa włosiennicę... Od lat kilku, im bardziej wczytywaliśmy się w dzienniki krajowe, tym bardziej zmieniała się scena naszego widzenia. Dzisiaj Warszawa stoi nam przed oczyma wesoła, płocha, rozhulana, rada z siebie i ze wszystkiego, zadowolona, szczęśliwa! Niczego jej więcej nie potrzeba, tylko zabawy!... Z a p o m n i a ł a j a k i e g o n a r o d u j e s t s t o l i c ą; uroiła sobie, że ma wszystkie warunki niepodległych stolic europejskich i dostała zawrotu głowy, który objawia się w jej ruchach, szczebiotach i sprawach“.

W roku 1859 znów pisze Klaczko: [3]) „Niedawno jeszcze miały dzienniki warszawskie tę bezbarwną nijakość, która bolała wprawdzie, ale nie raziła niczym, a nawet w tym skazaniu na oniemienie była pewna posępna powaga, której wróbli, niewinny świergot *Kurjerka Warszawskiego* nie szkodził“...

Wówczas to typami w kraju panującymi stały się miernoty, pyszałkowie, głupcy, grubijanie, hulacy, utracjusze. Wszystko w kraju obumarło; wszędzie szerzyła się głucha brudna rozpusta. Wino, cygara, stroje damskie i liche powieści, — oto wszystko, cośmy wówczas umieli czerpać z zagranicy. Duch publiczny stoczył się na samo dno znikczemnienia i zasnął w letargu. Gdy rozległ się skądś okrzyk głośniejszy, to był okrzyk pijanego szlachcica, szalejącego bez miary, bez pamięci, bez nadziei wytrzeźwienia. Gdy rozległa się skarga, lub szemranie, to było napewno skarga bezsilna chłopa uciskanego jarzmem pańszczyźnianym. W kraju nikt nad dolą narodu nie płakał; nikt w piersi swej płaczu ziemi rodzonej nie słyszał...

Bo któżby go słyszeć miał podówczas? Czy ów „obywatel ziemski”, ograniczony widnokręgami swej wsi i swego sobkostwo? Czy urzędnik ogłupiony subordynacją, tępy, a przebiegły? Czy arystokracja pokłonami w obcych stolicach ratująca książęce swe fortuny przed posądzeniem o udział w jakiejkolwiek ofierze na cel narodowy złożonej? Czy gruby cieleśnie i duchowo mieszczanin, będący dopiero na dorobku dziejowym, w przedświcie kultury? Czy wreszcie opasły fabrykant Niemiec, żerujący na polskim bezbronnym organiźmie, napychający kiesę pieniędzmi polskimi, lecz naszym ideałom narodowym najzupełniej obcy?

Na emigracji, śród ludu obcego, grzmiały i płomieniły się pieśni poetów, płynęły hasła odrodzenia, ścierały się prądy ideowe, polityczne, społeczne. Ale w kraju pusto było, głucho i martwo; w całym kraju panowała ta rozpaczliwa, najsmutniejsza cisza, zapadająca wówczas, gdy w narodzie kona sumienie, gdy w nim zanika odpowiedzialność wobec przyszłości. W takiej ciszy i w takiej pustce ludzie żyć mogli razem, mogli ze sobą obcować, mogli porozumiewać się i nawet wspólne ponosić wysiłki, a jednak każdy w swym obrębie był samotny, każdy żył odosobniony, żył i umierał bez echa, bez śladu w społeczeństwie.

Lecz czyż nikt nie wystąpił podówczas z protestem przeciwko gnuśności powszechnej, w nikim nie ozwała się waleczna i ochocza młodość?

Oh! walczyć można z huczącym prądem potoku, z pożarem, z wichrem, nawet z orkanom na pustyni, i walczyć jak Farys zwycięsko,—ale jakże oprzeć się i przeciwstawić topielom grzęzawiska, które powoli, łagodnie i miękko obezwładnia ruchy, wciągając coraz głębiej istotę żywą w mroki gnijących wyziewów rozkładu?

Walka zerwała się w pewnej chwili, zakipiał protest w młodych piersiach, ale na martwej topieli zaledwo kilka fal wokół rozeszło się kręgiem wzburzonym, nie wywołują wstrząśnień głębszych, ni przełomów.

C y g a n e r j a w a r s z a w s k a była tym wątłym protestem i tą niechlubną walką.

(C. d. n.). *W. Rzymowski.*

[3]) P. „Czasopiśmiennictwo polskie w. XIX“ p. Kucharzewskiego, str. 51—69.

J. Orka: „Kobieta w Sejmie i w Gminie”

Na 48 stronach druku autorka podaje przegląd treściwy zdobyczy wyborczych, osiągniętych przez kobiety w trzech częściach świata. Na czele stoi, oczywiście Ameryka Północna, gdzie ruch kobiecy i walka o równouprawnienie rozpoczęła się już przed półwieczem. Amerykanki otwarły sobie dostęp do wszelkich zajęć i zawodów, zdobyły możność kształcenia się narówni z mężczyzną. Według danych statystycznych na 5 kobiet w Ameryce przypada jedna, utrzymująca się z pracy własnej.

Następny etap walki to dążenie kobiety do zrównania się z mężczyzną pod względem zarobku. Okres ten nie prędko jeszcze zamknie się. Zrównanie

płac zależy od poparcia wniosków odpowiednich przez same rzeczniczki w parlamencie. Jest więc w interesie całych zastępów kapitalistycznych uniemożliwienie kobietom pracy prawodawczej. Tym tłómaczy się, że Ameryka Północna, pomimo demokratyzmu większego niż w Europie, powoli tylko i częściowo udziela kobietom praw wyborczych.

Stany, które dopuściły kobietę do głosowania są: Wyoming, który zrównał prawa płci od r. 1869; Colorado uczynił to samo w r. 1893, w tym samym roku otrzymują prawo głosowania obywatelki stanu Idaho. Dalej idą: Utah w r. 1895, Kanzas i Waszyngton, w r 1910. Doświadczenie wykazało, że uczestnictwo kobiet w pracy prawodawczej zaznaczyło się dobroczynnie przez podniesienie poziomu moralnego i umysłowego ludności, przez gorliwe i wszechstronne uwzględnianie potrzeb zdrowotnych, materjalnych, kulturalnych.

Gdy pierwsze pionierki ruchu kobiecego odwoływały się do zasady sprawiedliwości, obecne bojowniczki zmieniły taktykę. Sufrażystki przeszły na grunt realny, bronią czynnie praw swoich. Amerykańskie ligi praw wyborczych dla kobiet zgromadziły ogromne kapitały dzięki ofiarności członkiń. Urządzają mityngi, prowadzą propagandę za pomocą odezw, wozów reklamowych i drobnych przedmiotów handlu, sporządzanych specjalnie w celu rozpowszechnienia idei głosowania kobiet.

Należy zaznaczyć, że pod tym hasłem łączą się kobiety wszystkich klas i stanów, jakto się stało podczas bezrobocia 30,000 szwaczek w Nowym Jorku i Waszyngtonie.

Wogóle spostrzega się, że i w walce o prawa wyborcze kobiety grupują się według przynależności do różnych partji politycznych.

Obywatelki Australji i Nowej Zelandji rozpoczęły walkę o prawa równe w r. 1875, uwieńczoną wynikiem pomyślnym w r. 1893. Działalność ich była podobnie jak w Ameryce, nawskroś humanitarna; Australja pierwsza zaprowadziła powszechne ubezpieczenie państwowe na starość.

Kraje Skandynawskie dają obywatelkom swym prawo do udziału w samorządach. Norwegja uczyniła to w r. 1900, do parlamentu zaś dopuściła je po raz pierwszy w r. 1909.

W Danji i Szwecji pozyskanie przez kobiety praw politycznych należy do blizkiej przyszłości; to samo powiedzieć należy o Islandji.

Finlandki od r. 1906 zasiadają w Sejmie. Praca ich reformatorska uległa przerwie ze względów zewnętrznych.

Angielki od r. 1907 uczestniczą w samorządzie. O przyznanie im praw wyborczych wre walka zacięta.

Piśmiennictwa nasze, ubogie w prace oryginalne, omawiające ruch kobiecy, pozyskało w broszurze p. Orki cenne źródło informacyjne, do którego odsyłamy nietylko zainteresowanych ruchem kobiecym, lecz i tych wszystkich, którym drogi jest postępowy rozwój ludzkości na zasadach demokratycznych.

B. L.

NA DOBIE.

Pustynia łódzka i jej oazy.

Nietylko dokoła trypolitańskich oaz toczą się homeryczne boje, bowiem i w Łodzi w pobliżu oazy przy ul. Zielonej Nr. 8 grzmiały salwy karabinowe przez 40 godzin skierowane do człowieka, który zginął wreszcie... od własnej kuli.

Pod wskazanym adresem mieści się Łódzkie Muzeum Nauki i Sztuki — ożywcza choć niewielka i skromna oaza w dzikiej pustce domów, ulic, fabryk i kominów, pełnej groźnych zasadzek i band łupieżczych, rabujących się wzajem bez chwili wytchnienia.

Przy ulicy Zielonej, gdy zmilkła strzelanina i znikło zbrojne obozowisko — kulturalni łodzianie znów cichy znajdą przytułek, gdzie inne niż dookoła, ożywcze i dobroczynne rodzi się tchnienie.

Świeżo powstałe staraniem i sumptem kilku osób dobrej woli Muzeum łódzkie okrom ciekawych zbiorów etnograficznych i przyrodniczych, posiada wcale kompletny oddział fizyczno-naukowy, gdzie każdy ze zwiedzających czynić może doświadczenia i próby, mając do rozporządzenia najnowsze w tej dziedzinie instalacje. Niejedno myślące, młode czoło chyli się tam nad maszyną, nieraz grube palce robotnika biedzą się wytrwale, ujmując precyzyjne, lśniące przybory: myśl twórcza, tępiona w jałowej pustce bezmyślnej mechanicznej pracy — tu życzliwy znajduje przytułek a nieraz i czynną podnietę...

Łódzkie Tow. Krzewienia Oświaty, tak niezmiernie już zasłużone, założyło ze swej strony kilka podobnych oaz na wielkim i smutnym ugorze fabrycznego miasta. Do jego sal odczytowych garną się tysiączne rzesze robotników, tworząc najwdzięczniejsze na świecie audytorjum słuchaczy, skupionych i poważnych. Wypożyczalnie książek, zawsze pełne i gwarne, posiew rzucają dobroczynny w mroki dusz odepchniętych od światła i zaniedbanych w podziemiu.

Trudno zaiste opisać, z jaką skwapliwą wdzięcznością korzysta lud robotniczy z tych czytelń, gdzie wynajem książek kosztuje 5 kop. a zastawu nie pobiera się wcale. Książki mimo to nie giną, a miedziaków jest tyle, że opłaca się nimi dość drogi i obszerny lokal. Pracę zaś członków-założycieli Tow-a opłaca tylko poczucie spełnionego obowiązku — walor rzadki, nigdy chyba nie notowany na łódzkim rynku.

Jedna z tych czytelń w śródmieściu skupia najliczniejszy bodaj kontyngens, wyłącznie prawie żydowskiej młodzieży obojej płci. Tam to w gwarze głosów dziecięcych piszący te słowa rozróżniał z łatwo zrozumiałym wzruszeniem tytuły żądanych arcydzieł naszego piśmiennictwa i wielkie, drogie nazwiska, wymawiane akcentem jeszcze obcym, ustami, które dopiero oswajać się zaczynają z dźwiękami naszej mowy. I chciałoby się tę polską krynicę, tak skąpą, niestety, i niezasobną — rozszerzyć i pogłębić sto razy, by każdy przechodzień i przybysz czerpał z niej pełną piersią..

Takie są w Łodzi, pośród rozległej i dzikiej pustyni murów, ulic, fabryk i kominów — ożywcze, dobroczynne źródła, które powstały i trwają dzięki usilnym, ofiarnym zabiegom kilku szlachetnych i skromnych jednostek.

„Soból i Panna".

Najnowsza powieść Weyssenhoffa „cyklem myśliwskim" nazwana, jest to dzieło wielkiej wartości i dojrzałego zupełnie talentu. Bije zeń żywy potężny aromat litewskich pól i lasów, niepospolite umiłowanie i znawstwo przyrody, co jest wcale niespodziewaną i nader ujmującą dywersją ze strony twórcy dotąd cyklu salonowych li tylko powieści.

„Sobol i Panna" — to czysta i wdzięczna melodja, żadnym niezkłócona zgrzytem, zgiełkiem i swędem oficyn politycznych — melodja, zagrana z niepospolitym wirtuozowstwem i klasyczną zarazem prostotą.

Jest w tym „cyklu myśliwskim" kilka miejsc epickiej prawie mocy, tam zwłaszcza gdzie, na tle prastarych puszcz litewskich, szczery, pogański pociąg zdrowych zmysłów kojarzy w pary dorodne „drjady tych lasów" i młodych ze dworu dziedziców,

przyczym kończą się te zaloty iście niebywałym faktem, jak świadczy następujący z powieści wyimek:

„Puszczono mimo uszu, choć z zewnętrznym uszanowaniem, słowa ewangelji, oczekiwano z powszechnie ludzką ciekawością słów, dotyczących bezpośrednio chwili. A przecież prawie wszyscy w kościele, oprócz może niemrawej młodzieży, wiedzieli już, co zostanie ogłoszono: czekali jednak z naprężoną uwagą wymówienia uroczystych słów z ambony aby mieć to zadowolenie, że je łowią własnymi uszami. Słowa zaś miały być ważne i od pamięci ludzkiej niesłychane.

Jakoż po odczytaniu uświęconych tekstów proboszcz odchrząknął i uczynił dłuższą pauzę, zapewne z emocji.

Poczym wziął do rąk cienki zeszyt ze spisem osób, zabierających się do stanu małżeńskiego i głosem donośnym, a wzruszonym przeczytał:

— Stanisław Norbert Pucewicz, kawaler, stanu szlacheckiego, zamieszkały w majątku Gaczanach, z Anielą Trembelówną, panną, stanu włościańskiego: zamieszkałą przy rodzicach we wsi Trembeliszkach.

— Zapowiedź pierwsza.

Szmer jakoby modlitwy dziękczynnej wionął przez kościół i wszystkie spojrzenia skupiły się nagle w dwa ogniska, na miejscu, gdzie stali oboje narzeczeni. Stanisław w prezbyterjum wytrzymał te oględziny dumnie, oczu nie odrywając od wielkiego ołtarza. Janielka, stojąc w tłumie dziewcząt, poczuła dotkliwie zestrzelenie mnóstwa magnetycznych spojrzeń na swej główce i pofalowawszy trochę szyją i łopatkami, upadła gwałtownie na kolana, czołem aż do posadzki. Za jej przykładem runęły ukwiecone wokoło niej rówieśnice i drużki, za nimi cały łan kobiecy. Ale chłopi Trembele stali kamiennie, hardo wpatrzeni w przyszłość, jak ich zapowiedziany koligat ze szlachty; niektóry pociągał tylko plecami, krzyżował ramiona lub dumnie odrzucał w tył głowę". (str. 245)

P. Weyssenhoff każe sympatycznemu swemu bohaterowi popełnić ów mezalians w tym samym czasie, kiedy jeden z Habsburgów, członek najstarszej w Europie rodziny cesarskiej, żeni się z... mieszczką z Pragi, co stanowi *pendant* wcale aktualny.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* *Wielki nieboszczyk.* Gdyby ks. Stojałowski, jak bohater znanej komedji Magnusena, spojrzeć mógł z poza grobu na to, co się na jego cześć wyprawia i wypisuje — umarł by chyba powtórnie, zachłysnąwszy się śmiechem lub przekleństwem. Po chwalebnych hymnach prasy endeckiej w Galicji oto z kolei *Kurjer Warszawski* w sążnistym artykule pióra p. B. Lutomskiego sławi zmarłego księdza cnoty i zalety. O „gorszących" jego waśniach z dworem i kruchtą, waśniach, które trwały ćwierć wieku, wspomina wstydliwy *Kurjerek* półgębkiem, bardzo zwięźle i niechętnie:

> Ścigany jak zwierzę w knieji, pokłócony z władzami świeckimi i biskupami, więziony — Stojałowski płacił wet za wet, mścił się, bryzgał obelgami, dopóki nie odbył pokuty w Rzymie

by w końcu zapewnić nas uroczyście:

> Zasługi jego będą niezapomniane. Przed Stojałowskim wieśniak polski w Galicji nazywał się po większej części cesarskim: namiętnej i długiej działalności księdza-redaktora zawdzięcza on polskie wyobrażenia.

Juźcić tak być musiało, skoro przyświadcza to *Kurjer Warszawski.* Spotwarzany, lżony, bezczeszczony „ścigany jak zwierzę w knieji" był więc „ksiądz rubarz" istotnym odrodzicielem życia polskiego w Galicji. „Zasługi jego będą niezapomniane"... Być może; jakie to jednak smutne i znamienne, że tych zasług nikt przez lat 40 nie zauważył; wybłysły one dopiero w... nekrologu. Różnemi drogami zdobywa się na świecie uznanie współziomków na niwie politycznej; w Polsce prowadzi doń jedna, jedyna droga: przez cmentarz. Winą Stojałowskiego było to, że odkrył tę drogę — zapóźno.

* Według więc *Kurjera Warszawskiego* „wieśniak polski w Galicji... namiętnej i długiej działalności ks. Stojałowskiego zawdzięcza polskie wyobrażenia" co podkreśliliśmy poprzednio jako objaw cokolwiek... spóźnionego uznania.

Katolicki zaś *Dziennik Powszechny* innego jest zdania. Ks. J. G. w artykule, pełnym, jak zwykle, chrześćjańskiej słodyczy i pobłażania, woła wręcz, że cała działalność nieboszczyka, ta

> akcja, ziejąca nienawiścią do wszystkich podstaw ładu społecznego, rozpętująca najgorsze instynkty mas i znieprawiająca je do gruntu, była jednym wielkim spiskiem przeciw ogólnemu dobru, jednym wielkim buntem przeciw Dekalogowi, którego rzekomo ten ksiądz, niezrzucający sutanny, miał być głosicielem i obrońcą.
>
> I to jest straszliwą zbrodnią Stojałowskiego, że lud znieprawiał, że zatruł jego duszę.

A dalej w tym samym tonie wywodzi świątobliwy autor:

> Kąkol, siany przez Stojałowskiego, wydał opłakany owoc dla ludu polskiego, ale i siewaczowi nie przyniósł szczęścia. Rozpętał on złe moce, które odtąd same już dalej wiodły działanie zniszczenia. To wszystko, co jest dziś u nas anarchją i rozstrojem, choć z różnych płynie źródeł, w nim ma przecie pierwszego swego twórcę.

Z konkluzji zaś wynika, że ks. Stojałowski, któremu *Kurjer Warszawski* takie czołobitne składa po śmierci hołdy —

> był najszkodliwszym dla Kościoła i Polski człowiekiem, jakiegośmy mieli, odkąd sięga pamięć współczesnego mu pokolenia.

Zdania są, jak widać, podzielone. *Kurjer Warszawski* ma po swej stronie słuszność objektywnej — bo pozgonnej — oceny — on, który jest specjalistą od nagrobków... Ale namiętna i mściwa nienawiść naszych księży do człowieka, który w sutannie i pod godłem krzyża tchnął samodzielność w masy chłopskie i powiódł je przeciw biskupom — jest aż nadto zrozumiała.

Księdzu J. G. radzimy jednak, by szczędził żółci wobec trupa, bowiem zbraknąć jej może — dla żywych.

* *Jeszcze o „najszkodliwszych".* Obława *Gazety Warszawskiej* nie daje się w niczym ubiec kościelnym osacznikom. Ci nękają nieboszczyków, a p. Skiba tropi „szkodliwców" za życia. Autor dość nieszkodliwych *Uwag* w dzień zaduszny takiej dokonał rewelacji:

> Według mego przekonania, p. Malinowski, redaktor „Zarania", należy do najszkodliwszych ludzi w naszym społeczeństwie. Niedość bowiem, że jest przedstawicielem szkodliwych dla narodu dążeń, lecz dążenia te szerzy w sposób niemoralny, inne okazując oblicze ludowi, inne zaś swoim zwolennikom wśród inteligencji.

Odpieranie takich zarzutów jest rzeczą chyba zbyteczną, zwłaszcza że padły one z grupy, zwanej przez własnych b. zwolenników „stronnictwem demoralizacji", na co słusznie zwraca uwagę *Kurjer* lubelski, zapytując:

> Kto mówi o „moralności"? Któż to dwulicowość piętnuje?
>
> Współpracownik „Gazety Warszawskiej", szlafkamrat Dmowskiego, zwolennik endecji!
>
> On dziś ma uzyskać na konkursie cnoty pierwszą nagrodę!

Pan Skrba, Dmowski i cała redakcja „Gazety Warszawskiej“ — to ci wzór cnoty i pobożności! Wszak ciągle głoszą potrzebę religji... dla maluczkich naturalnie, bo oni.. Zapytajcie się ich, czy posty nakazane zachowują, czy w dnie świąteczne i niedziele na mszy świętej bywają, czy przynajmniej raz w rok około Wielkiej Nocy spowiadają się i komunikują we własnej parafji lub w innej za zezwoleniem swojego pasterza?

To w dziedzinie ich religijności, a w polityce? Wszechpolacy w kraju przekształcają się w partję stojącą na gruncie „ogólno-państwowych zasad“, wynoszącą ponad wszystko „konieczności państwowe“ i głosującą za kontyngensem rekruta.

Oto dwa oblicza endecji: jedno dla otumanionych wyborców i zakrakanych a politycznie niewyrobionych mas, drugie wypucowane na wszechrosyjską modłę dla petersburskich dygnitarzy i niewiernych sojuszników z prawicy.

I dotąd niewiadomo, które oblicze endecji jest prawdziwe — czy świętoszków na arenie publicznej, czy bezwyznaniowców w życiu prywatnym, czy separatystów w kraju, czy państwowców w Dumie?...

Z tą nierozwiązaną zagadką kładzie się endecja do grobu.

* Inaczej niż akolyci p. Dmowskiego, rozumniej i trafniej ocenia ruch zaraniarski kolonja polska w Ameryce, gdzie problem narodowości, kultury i wiary zarysował się już wyraźnie. Popularna i wpływowa gazeta *Straż*, organ „polsko-narodowej Spójni“, zamieściwszy na miejscu naczelnym *List otwarty* pod nagłówkiem: „*Katolicki Lud Mówi Prawdę Biskupowi*“ (por. *Prawda* Nr. 43) takim zamyka go wnioskiem:

Tam więc w Europie budzi się polski lud, tam w Europie na swojej ziemi, zwilżonej łzami, potym i krwią ojców i dziadów, przejrzał, że rzymski ksiądz, rzymski biskup nie niesie mu prawdy Chrystusowej, ni pochodnię światła, ale łojówkę rzymską kopcącą — tu na wychodźtwie po tylu krzywdach i mękach będziemy się jeszcze łudzili, że nas Rzym zbawi, że jego prawa i przepisy nas uzdrowią?

Precz z takim przekonaniem, bo ono zatruwa duszę ludu i do śmiertelnego snu go kołysze!

Ten energiczny i męski głos Polaków amerykańskich, którzy tam na obczyźnie twardą walką o samoistność poczucia narodowego trafne w sobie wyrobili probierze potrzeb kultury polskiej — ten głos postokroć wagą swoją przeważa zjadliwe szykany tutejszych koterji zachowawczych: brzmi on jak sprawiedliwe i rozgłośne *votum* zaufania dla naszej pracy, którą tu w kraju sądzono nieraz opacznie i stronnie.

* Do źródeł reakcji rosyjskiej usiłuje dotrzeć w ostatniej dziesiętnicy *Myśli Niepodległej* p. Lambro.

Wszystkie pozory przemawiają za tym, że Rosja przed zniesieniem poddaństwa była bardziej liberalistyczna, niż po zniesieniu tego nieludzkiego w naszych czasach ustroju. Konstytucja nietylko wisiała w powietrzu, ale uchodziła za logiczne następstwo tamtego aktu wolności. A jednak stara prawda wzięła górę, że ilekroć ramy obywatelstwa zostaną rozszerzone na jakąś nową klasę społeczną, która jest zaniedbana kulturalnie, trzeba przeżywać okres reakcji, gdyż wstecznictwo schodzi o piętro niżej i opiera się przez pewien czas na żywiole wyzwoleńczym. Zupełnie to samo da się powiedzieć o Niemczech przed konstytucją i po konstytucji. Niemcy przedkonstytucyjne oddychały klimatem najwyższych wartości filozoficznych i artystycznych, ożywiał je duch jakiegoś ateńskiego kosmopolityzmu, który zarazem budował patrjotyzm na fundamentach cywilizacyjnych. Niemcy pokonstytucyjne wysunęły na czoło prusactwo, junkierstwo, hakatyzm, tępy szowinizm, natrętne partactwo, cyniczne grubijaństwo. Czyż Naród Polski nie przeżył tego samego? Porównajmy wolnomyślność Królestwa Kongresowego do r. 1831 z wstecznictwem obecnym. Szlachta liberalizowała, póki chłop odrabiał pańszczyznę; dziś, gdy ten chłop jest wolny, lęka się w nim materjalnego konkurenta, zaś chłop ze swym wodzem demagogicznym, proboszczem, głowę dufnie zadziera i gotów iść z kłonicami na wszystkich wolnomyślnych bezbożników. A jednak jesteśmy świadkami, że okres ten już mija, w chłopie polskim budzi się świadomość, rozwija się w nim inteligencja, opuszcza już cichaczem księdza i zaczyna myśleć o emancypacji. Pouczającym jest wreszcie okres absolutyzmu oświeconego, który także liberalizował, póki stan trzeci nie zaczął prześcigać umysłowo dwory wtedy powstaje Święty Aljans i Europa grąży się w mroku reakcji. Dziś w Rosji nacjonalizm organizuje takie Święte Aljanse, opierając się przeciwko wszelkim warstwom światlejszym na ciemnych masach pospólstwa chłopskiego, od pół wieku wolnego i nie wiedzącego właściwie, co z tą swoją wolnością począć.

Stwierdzając następnie wejście państwowości rosyjskiej na tory ewolucji, autor nie pomija olbrzymich przeszkód, piętrzących się na drodze rozwoju, ale także widzi pewne oznaki postępu. Oto dzisiaj

Coraz częściej słyszy się narzekania na system, gdy dawna krytyka formułowała głównie zarzuty jednostkom. Do zniesienia cenzury prewencyjnej marzeniem było dążącej do emancypacji krytyki demaskować jednostki, aczkolwiek wytrawni ludzie mawiali: nie będzie ten, będzie inny! W tym prostackim sformułowaniu kwestji tkwiła jednak ta mądrość, iż w jednostce widziało się skutek a nie przyczynę stanu rzeczy, co teraz dopiero, gdyż już świadomość nasza dzięki rozszerzonej wolności prasy większe horyzonty obejmuje, staje się zwolna dla nas wszystkich jasnym. W wielkiej fabryce państwowej dziś uwagę naszą zwracają nie ci lub owi mechanicy, ale funkcje mechanizmów, transmisje, schematy. Zbliżyliśmy się tedy do źródeł, z których płyną wielkie rzeki stanu, który nazywamy reakcją, a ten stan dopiero wtedy się na dobre ujawnił, gdy przyszły postanowienia konstytucyjne i izby prawodawcze.

Do walki z reakcją środowisko rosyjskie stworzyć musi i wyhodować nowy typ człowieka, typ męża publicznego. Niestety, mąż publiczny w Rosji dopiero wyrasta, a tam, dokąd z natury rzeczy zwracałyby się nasze sympatje, widujemy na razie więcej dopiero ludzi serca, niż ludzi talentu. Pamiętajmy, że talent tylko lepiej od innych chadza znanymi drogami, gdy geujusz nowe odnajduje. Rosja, jak tego chcą wszyscy, ma iść drogami nowymi. To też dziś genjuszów potrzebuje, nie talentów, które najwyżej będą się tylko sympatyczniej miotały w błędnym kole dotychczasowości. Dotąd jednak wszyscy prawie spiskują przeciw genjalności, czyli oryginalności, gdyż nawet nowinzy i nowostki przybywały tam w wagonowych szablonach, mechanicznie importowane. Tandeta europejska ma nawet produkcję lewicowości na wywóz do krajów kulturalnie zaniedbanych i paraliżuje swojską produkcję zalewem swojego eksportu...

KRONIKA.

ILU JEST SŁOWIAN? Na to pytanie odpowiada prof. T. D. Florinskiej w dodatku do mapy „Etnograficzeskaja Karta Zapadnego Sławianstwa i Zapadnoj Rusi“, wydanej w Kijowie. Podajemy poniżej interesujące cyfry bez zmian.

Według profesora Florinskiego było Słowian na początku r. 1911 około 159,420,000.

Z owych 159,420,000 jest:

1) 60,000,000 Wielkorosjan 33,100,000 Rusinów i Białorusów 7,420,000.

2)	Bułgarów	5,700,000
3)	Serbochorwatów	9,775,000
4)	Słoweńców	1,500,000
5)	Czechów	7,500,000
6)	Słowaków	2,740,000
7)	Serbów łużyckich	157,000
8)	Polaków	21,700,000
9)	Kaszubów	370,090
	Razem	159,420,000

Poszczególne narody słowiańskie zamieszkują następujące państwa;

Rosjan (włącznie Rusinów) mieszka w państwie rosyj. 105,000 tys. w liczbie tej Rosjan 69,200 tys. Rusinów 28,400 tys. Białorusów 7, 400 tys; w państwie austryjackim 4,500 tys. i to w Galicji 3,480 tys. w Bukowinie 360 tys. i w Węgrzech 660 tys. w innych państwach europejskich 70 tys. w Ameryce 330 tys. w państwach azjatyckich 100 tys. razem 110 miljonów.

Bułgarzy mieszkają: w Bułgarji 3,400 tys. w Turcji, (w Macedonji, Rumelji, w Konstantynopolu i innych krajach tureckich) 1 900 tys. w Rumunji 110 tys. w Rosji 226 tys. w Austro-Węgrzech 34 tys. w innych państwach 30 tys. razem 5,700 tys.

Serbochorwaci mieszkają: w królestwie Serbskim 2,800 tys. w Czarnogórzu 260 tys., w Austro-Węgrzech 5,855 tys. Z liczby tej w Przedlitawji 800 tys. w Zalitawji 3,084 tys. w Bośni i Hercegowinie 1,960 tys. w Turcji (w starej Serbji i Macedonji w wilajecie akaderskim) 550 tys., w Rosji 2 tys., we Włoszech 6 tys. w Ameryce 300 tys. Razem 9,775 tys.

Słoweńców jest w Austro Węgrzech 1,326 tys., we Włoszech 43 tys. w Ameryce 132 tys. Razem 1,500 tys.

Czechów w Austro-Węgrzech 6,935 tys. z tej liczby w Czechach, na Morawie, Śląsku, w Dolnej Austrji 6,865 tys. w Węgrzech 60 tys. w Bośni i Hercegowinie 10 tys., w Niemczech 126 tys. w Rosji 65 tys. w Ameryce 310 tys. w innych krajach 64 tys. Razem 7,500 tys.

Słowacy: w Austro-Węgrzech 2,358 tys. z liczby tej w Węgrzech 2,250 na Morawie, w Dolnej Austrji i w Wiedniu 10,800; w Ameryce, w Rosji i innych krajach 2 tys.

Serbowie łużyccy: w Górnych Łużycach 101 tys. w Dolnych 56 tys. W Królestwie Saskim mieszka w tej liczby 56 tys. w Prusach 90 tys. w Ameryce, Australji i innych krajach 11 tys.

Polaków w państwie rosyjskim 9,8 tys. w Austrji 4,9 tys., w Niemczech 3,9 tys. w innych krajach europejskich 100 tys., w Ameryce 3 miljony. Razem 21,7 tys.

Kaszubów w Niemczech (prowincje Zachodnie Prusy i Pomorskie), a 232 tys. w Ameryce 118 tys. Razem 370 tys.

W poszczególnych państwach rozmieszczeni są Słowianie jak następuje:

W Rosji 115,100 tys. w Bułgarji 3,430 tys. w Serbji 2,800 tys. w Czarnogórzu 270 tys. w Austro-Węgrzech 25, 600 tys. (w Austrji 17,400 tys. w Węgrzech 6,225 tys. w Bośni i Hercegowinie 1,975 tys) w Turcji 2,450 tys. w Niemczech 4,500 tys. w Ameryce 4,500 tys. w Rumunji 130 tys. we Włoszech 50 tys. w innych państwach 600 tys. Razem 159,420 tys.

Największy procent Słowian, bo 72,2 proc. żyje w Rosji 46,1 proc. w Austro-Węgrzech, 2,8 proc. w Niemczech, tyleż w Ameryce, 2,1 proc., w Bułgarji, 1,8 proc. w Serbji, 1,5 proc. w Turcji, gdzieindziej 0,54 proc.

W Austro-Węgrzech tworzą Słowianie 40,5 proc. ludności państwa. Przedlitawji 60,5%, w Węgrzech 27%

Stosownie do wyznawanej religji jest prawosławnych 111,530 tys.

Rosjan 100,760 tys., Serbów 5,450 tys., Bułgarów 5,260 tys., innych 60,000; unitów jest 4,222 tys., roskolników 3,500 tys.,katolików 37,300 tys.

W liczbie tej Polaków 21,150 tys. Czechów 6,250 tys., Słowaków 680 tys., Serbochorwatów 3,450 Słoweńców 1,480 tys., Rusinów 1,500 tys., Kaszubów 345 tys., Bułgarów 50 tys., Serbów łużyckich 15 tys.

Protestantów Słowian jest 1,640 tys. W liczbie tej Słowaków 68 tys., Polaków 550 tys., Czechów(?)230 tys., Serbów łużyckich 142 tys., Kaszubów 25 tys., Słoweńców 21 tys., Bułgarów 2 tys.

Mahometan Słowian jest 1,250 tys. W liczbie tej Serbów 800 tys., Bułgarów 370 tys.

Według tego zestawienia prawosławnych Słowian jest 70 proc., katolików 23 proc., unitów 2,7 proc., roskolników 2,3 proc., protestantów 1 proc. i 1 proc. mahometan.

PRZESTĘPCZOŚĆ ŻYDOW LWOWSKICH. Policja przytrzymała we Lwowie w ciągu roku 1910 czy to z powodu podejrzenia o zbrodnię, występek lub przekroczenie, czy to w innych celach ogółem 11,724 osób. Według wyznania było w tym 10,440 (89 proc.) nieżydów, a 1,284 (11 proc.) żydów. Ten stosunek procentowy jest zatym dla żydów korzystny, gdyż stanowili oni w r. 1910 niespełna 29 proc. ludności Lwowa. Inaczej jednak przy bada iu wyznania młodocianych przestępców, t. j. mających niżej lat 18-tu. W powyższej bowiem cyfrze 11,725 przetrzymanych osób mieści się 1,269 młodocianych przestępców, z tego 358 (zatym przeszło 28 proc.) żydów. Tu zatym stosunek procentowy odpowiada prawie dokładnie stosunkowi procentowemu ludności.

Z przytrzymanych osób traktowano policyjnie (t. j. zasądzono lub uwolniono przez organa policyjne) — 5,916 osób, w tym 5,285 nieżydów, a 631 żydów.

OFIARY.

Na wpisy dla biednych uczniów szkół polskich od następujących pracowników T-wa. Nikopol Marjupolskiego w Sartanie:

L. Wasilewski rb. 10, T. Jabłkowski rb. 10, T. Kobyliński rb. 3, S. Prauss rb. 3, B. Jankowski rb. 6, G. Weker rb. 3, J. Rzewnicki rb. 3, S. Kleinsznek rb. 3 S. Hegner rb. 2, G. Cywiński rb. 2, J. Tomaszewski rb. 1, W. Lenk rb. 1, A. Kozikowski rb. 1, S. Szczawiński rb. 1, J. Rayski rb. 1, J. Woroszyłło kop. 50, A. Misiewski kop. 50, A. Prokopowicz kop. 50 P. Mitrocki kop. 50, K. Świetliński kop. 50, W. Popiel kop. 50, Z. Czaykowski rb. 1. Ogółem rb. 54.

Na szkołę w Sokołówku: Janina Krassowska z Garwolina rb. 1.

Książki nadesłane do Redakcji:

Marceli Sachs: „W pewnym domu". Powieść, wydanie drugie, str. 189, cena 1 rb (2 kor. 50 hal.)

Henryk Mościcki: „Dzieje porozbiorowe Litwy i Rusi". Zeszyt VIII. Wilno.

Maciej Wierzbiński: „Pod mysią wieżą", Powieść współczesna, Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1912, 8-ka, str. 375. Cena rb. 1,80.

J. P. Müller: „Mój system dla kobiet". Jedyna droga do utrwalenia zdrowia oraz rozwoju i zachowania piękności. Ze 109 rycinami i oddzielną tablica ćwiczeń Przekład d-ra W. Z. Str 164. Warszawa, Gebetner i Wolff.

Rocznik Gebethnera i Wolffa na rok 1912, LV istnienia firmy, kalendarz encyklopedyczno-praktyczny, opracowany pod kierunkiem redakcji „Tygodnika Illustrowanego", ozdobiony 200 ilustracjami, tablicami porównawczymi i portretami, Warszawa, 1912, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Sp. 8-ka, str. 363. Cena kop. 60, karton kop 80.

Wizerunki królów i książąt polskich. Zeszyt I. Warszawa, Nakład A. Chlebowskiego i Ski. Wydawnictwo pedagogiczne, przez M. Barwickiego, z treściwymi objaśnieniami H. Mościckiego.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI.

Panu M. Wierniewiczowi w Rząśniku: Paris, libraire Hachette et C-ie, 3 fr. 50.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy" wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują administracja „Prawdy" oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

TREŚĆ: POLITYKA I ŻYCIE SPOŁECZE: O Wolność Sumienia. — ECHA PRAWDY: Noce afrykańskie. — Jak u murzynów — Ks. Wyrębowski, donżuan w sutannie. — ODCINEK: Fatalne miłosierdzie, przez Stefana Kiedrzyńskiego (Dokończenie). — W poszukiwaniu drogowskazu, przez Józefa Lange. — Listy z Galicji, przez Ludwika Kulczyckiego. — BADANIA NAUKOWE: Filozofja momentu, przez Stanisława Baczyńskiego. — Mnichy i Papieże przez St. Romanowskiego. (Ciąg dalszy.) — KRYTYKA: Ostatni dramat L. Tołstoja, przez Leona Choromańskiego. — „Cyganerja Warszawska", przez W. Rzymowskiego. — J. Orka: „Kobieta w Sejmie i w Gminie", przez B. L. — NA DOBIE: Pustynia łódzka i jej oazy. — „Soból i Panna". — Z PRASY: Z prasy polskiej. — KRONIKA. — Ofiary. — Książki nadesłane do Redakcji. — Odpowiedzi od Redakcji. — OGŁOSZENIA.

Kierownik literacki: **Wincenty Rzymowski.** Redaktor: **Aleksander John.**

Sekretarz Redakcji: **Leon Gorecki.** Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Piękna 15.